

# JACK HIGGINS

## ROK TYGRISA

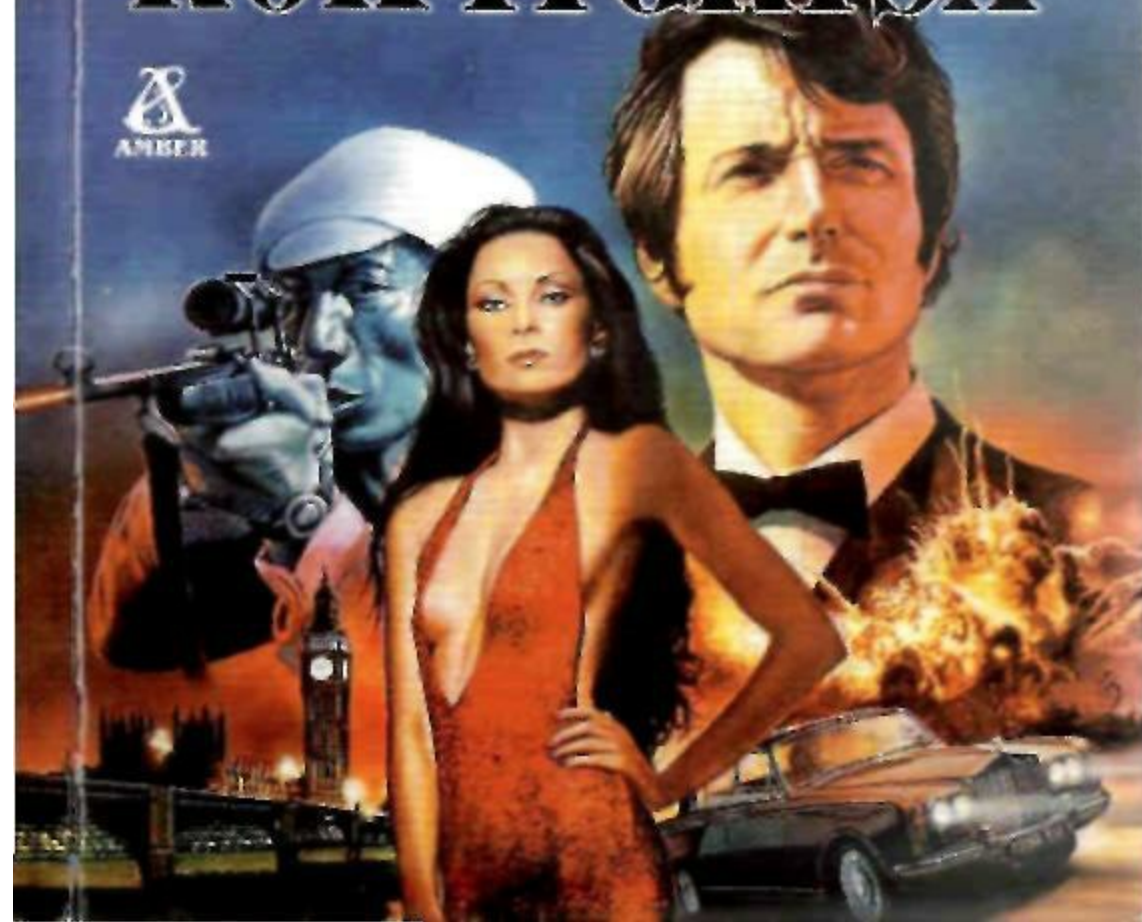
 AMBER



# JACK HIGGINS

## ROK TYGRYSA

  
AMBER



Jack Higgins

**Rok tygrysa**

**Year of the tiger**

**Przełożył**

**Jerzy Gochnio**

*O/f*

*JIL/JU*

## 1. Etap drugi

Wrzucono go do celi jak worek. Chavasse przetoczył się przez jakieś ciało i rąbnął w przeciwną ścianę. Z trudem się podniósł na kolana i stojąc na czworakach kilka razy głęboko odetchnął. Po chwili oprzytomniał i rozejrzał się dokoła.

Cela miała nie więcej niż cztery metry kwadratowe. W skąpym świetle łożówki, umieszczonej w niszy nad jego głową, widać było stłoczonych ludzi. Cuchnęli okropnie. Kilka par oczu zwróciło się ku nowemu więźniowi, by po chwili znowu patrzeć przed siebie z tępą obojętnością.

Byli to w większości tybetańscy chłopcy, okutani szczelnie w serdaki z owczej skóry. W jednym z kątów siedział buddyjski kapłan. Z twarzą pooraną zmarszczkami, owinięty w żółtą togę, podartą i brudną, patrzył w ścianę i, przebierając palcami paciorki różańca, powtarzał monotonnym, niskim głosem ciągle te same słowa modlitwy:

— Om ma-ni pad-me hums... om ma-ni pad-me hurns.

Było przeraźliwie zimno, a przez kraty niewielkiego okna, znajdującego się wysoko ponad głowami, wpadały krople deszczu. Chavasse podniósł się, przestąpił przez ciało jakiegoś wstrząsanego dreszczami biedaka w łachmanach i wspiął się na palce, aby wyrzeć przez okno.

Mur ogradzający podwórze był częściowo zrujnowany i przez jego wylomy widać było miasto.

Szalejąca po płaskich dachach Changu wichura przygnała tu ze stepów Mongolii wczesną zimę. Dotknięcie jej lodowatych palców zmroziło twarz Chavasse'a. Zadrzał mimo woli. Przeniknęło go jakieś mroczne uczucie, jakby zobaczył własny otwarty grób.

Naprzeciwko otworzyły się drzwi i podwórze rozjaśnił strumień światła, od którego ostro odcinała się sylwetka chińskiego żołnierza. Żołnierz odwrócił się i krzyknął coś do swych towarzyszy, znajdujących się w środku. Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Potem Chińczyk zamknął za sobą drzwi i, z głową pochyloną przed zacinającym deszczem, przebiegł przez podwórze.

Chavasse odsunął się od okna. Wstrząsany dreszczami nędzarz jęczał nieustannie jak ranne zwierzę, ściągnięte bólem wargi odsłaniały mocno zaciśnięte zęby. Chavasse, starając się nie nadepnąć na spi-

ących ludzi, przeszedł ku wolnemu miejscu w rogu celi, przy drzwiach. Cofnął się jednak natychmiast, uderzony falą smrodu ludzkich ekskrementów.

Wrócił na poprzednie miejsce i przykucnął na zmiętej słomie. Obok, oparty plecami o ścianę, przysiadł wysoki Tybetańczyk w podartym chałacie i stożkowatym kapeluszu. Patrzył na Chavasse'a uwa-



nie, drapiąc się nieustannie, gdyż dokuczały mu wszy. Po chwili wyciągnął spod fałdów ubrania kawa-

łek czampy — ugniecionego z łojem wielbłądziego nawozu — odłamał połowę i podał ją cudzoziemco-wi. Chavasse odmówił, zmuszając się do uśmiechu. Człowiek wzruszył ramionami, a potem zaczął

przeżuwać swój przysmak.

Chavasse odwrócił się, czując jak zimno bezlitośnie przenika całe jego ciało. Drżąc opasał się, jak mógł najszczelniej, ramionami i przymknął oczy, myśląc o tym, co się stało i jak, u diabła, wygrzebać się z tego. Ale nie miał żadnego pomysłu. Po chwili zapadł w niespokojny sen.

Wprawdzie słyszał zgrzyt przekręcanej w zamku klucza i otwieranych drzwi, ale na dobre rozbudziło go dopiero uderzenie w twarz. Czyjaś ręka schwyciła go mocno za poły kurtki, zmusiła do powstania i pchnęła przez celę za drzwi.

Na wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu czekali dwaj szeregowcy i sierżant. Wszyscy w takich samych prostych mundurach ze zgrzebnego płótna, na których odcinała się jaskrawą czerwienią pięcioramienna gwiazda armii Chińskiej Republiki Ludowej. Sierżant odwrócił się bez słowa i ruszył

korytarzem przed siebie, Chavasse za nim, a dwaj szeregowcy, z gotowymi do strzału automatami, za-mykali pochód.

Po kamiennych wyslizganych schodach weszli na pierwsze piętro. Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami. Sierżant zapukał, odczekał chwilę, a potem wprowadził Chavasse'a do środka.

Pokój najwidoczniej służył za kwaterę jakiejś bardzo ważnej osobistości. Drewniane ściany były pięknie zdobione, na podłodze leżał wełniany dywan, a na dużym kamiennym kominku paliło się kilka polan. Zielony kredens w rogu pokoju i biurko stojące na samym środku wyglądały jakoś niestosownie, kłócąc się z całym otoczeniem.

Za biurkiem siedział pułkownik Li, trzymając w ręku maszynopis raportu. Nie odrywał oczu od tekstu, więc Chavasse stanął nie opodal biurka, chwiejąc się na nogach ze zmęczenia. Przez chwilę przyglądał się swemu odbiciu w wąskim lustrze w złotych ramach, wiszącym za plecami pułkownika.

Przystojna, arystokratyczna twarz więźnia była wymizerowana i ściągnięta ze zmęczenia, oczy podkrążone i wpadnięte w oczodoły, a z rany na czole sączyła się wolno krew. Kiedy podniósł dłoń, aby ją obetrzeć, pułkownik Li rzucił raport na biurko i spojrzał na Chavasse'a.

W oczach pułkownika pojawił się nagle wyraz zainteresowania. Zmarszczył brwi.

— Cóż oni z tobą wyrabiali, chłopie? — odezwał się nieskazitelną angielszczyzną.

— Wzrusza mnie twoja troskliwość — odparł Chavasse.

Li odchylił się, oparł wygodnie i uśmiechnął się kącikiem ust.

— Więc rozumiesz po angielsku. A zatem zrobiliśmy krok do przodu.

Chavasse zaklął w duchu. Był zmęczony bardziej niż kiedykolwiek przedtem i dlatego dał się złapać na ten prosty, podręcznikowy trik.

— Punkt dla ciebie — wzruszył ramionami.

— Oczywiście — odparł Li beznamiętnie, odsyłając żołnierzy gestem ręki.

Panujące w pomieszczeniu ciepło sprawiło, że więźniowi pociemniało w oczach. Zachwiał się lekko, więc by nie stracić równowagi oparł się o krawędź biurka. Pułkownik Li natychmiast się poderwał.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli usiądziesz, przyjacielu — zaproponował.

Chavasse opadł na krzesło, a Li podszedł do kredensu, otworzył go i wyjął butelkę oraz dwie szklaneczki. Postawił je na biurku, szybko obie napełnił i jedną pchnął po blacie ku więźniowi. Ten czekał, aż Chińczyk napije się pierwszy.

Li uśmiechnął się lekko i jednym haustem wychylił zawartość szklaneczki.

— Wypij, przyjacielu — powiedział. — To niespodzianka.

Była to pierwszorzędna szkocka i Chavasse zakrztusił się trochę pierwszym łykiem. Sięgnął po butelkę i nalał sobie jeszcze.

— Cieszę się, że trunek znalazł twoje uznanie — oznajmił Li.

Chavasse milcząco przepił do niego i opróżnił szklanekę. Krążący w żyłach alkohol poprawił mu samopoczucie.

— Mieszkanie ze wszystkimi wygodami, co? — powiedział, rozsiadając się wygodnie. — To z pewnością za tę ciężką pracę w służbie proletariatu. Ale, ale, czy nie masz również czegoś takiego jak papierosy? Twoi ludzie oczyścili mnie bardzo dokładnie. Wygląda na to, że niezbyt często wypłacasz im żołd.

Pułkownik Li wyjął z kieszeni paczkę amerykańskich papierosów i przytknięciem palców pchnął ją w kierunku rozmówcy.

— Jak widzisz, mogę spełnić wszystkie twoje życzenia. Chavasse wyciągnął z paczki papierosa i

sięgnął po zapalniczkę.

— A cóż się stało z waszą własną produkcją? — zapytał.

— Papierosy Yirginia są bardzo dobre. — Chińczyk uśmiechnął się przyjaźnie. — I kiedy przyjdzie czas, z pewnością weźmiemy je wszystkie na potrzeby krajowe.

— Zalecałbym ostrożność — ostrzegł go Chavasse. — W Pekinie takie zachwyty nad kapitalistycznym produktem nazwano by zdradą.

— Ale nie jesteśmy w Pekinie — odparł pułkownik Li, umieszczając papierosa w eleganckim, rzeźbionym ustniku. — Tutaj, mój drogi, ja stanowię prawa.

Głos pułkownika nadal był przyjazny, a sposób bycia uprzejmy, ale Chavasse rozpoznał już przyjętą metodę działania i zrozumiał, że znalazł się w rękach prawdziwego specjalisty.

— Co zamierzasz ze mną zrobić? — zapytał.

— To zależy wyłącznie od ciebie, przyjacielu — wzruszył ramionami Li. — Jeżeli będziesz z nami współpracował, to wszystko będzie dobrze.

Chavasse z zainteresowaniem przyjął do wiadomości, że możliwe jest jakieś porozumienie. Jednakże w słowach pułkownika kryły się znajome akcenty. Uśmiechnął się do Chińczyka zza kłębow tytoniowego dymu.

— To znaczy, że mam szansę? — zapytał.

— Ależ naturalnie — odparł Li. — Musisz tylko powiedzieć mi, kim naprawdę jesteś i w jakim celu znalazłeś się w Changu.

— I co się wtedy stanie?

Li wzruszył ramionami.

— Jesteśmy pobłażliwi dla tych, którzy dobrowolnie przyznają się do błędów.

Chavasse zaśmiał się gorzko i zdusił niedopałek papierosa w popielniczce.

— Jeżeli to wszystko, co masz mi do zaproponowania, to nie mamy o czym mówić.

— Wielka szkoda — odparł w zamyśleniu Chińczyk, postukując w blat biurka wypielęgowaną ręką.

Wprawdzie w tonie jego głosu brzmiała szczerza troska, ale Chavasse słuchał go dziwnie obojętnie,



zastanawiając się, jaki może być następny ruch tamtego.

— Co cię tak zmartwiło?

— Fakt, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach. Nie jestem idealistą ani politycznym fanatykiem. Jestem po prostu człowiekiem, który zawsze stara się dostosować do okoliczności.

— Mam nadzieję, że ci się to opłaca — odezwał się Chavasse z odcieniem ironii w głosie.

— Och, z pewnością. — Li uśmiechnął się skromnie. — Ponieważ *ja* wybrałem tę stronę, która prędzej czy później zwycięży, przyjacielu. — Poprawił papiery, leżące w stercie na biurku. — Masz jeszcze czas, żeby to przemyśleć i przejść na tę samą stronę.

Chavasse westchnął, potrząsając przecząco głową.

— Nie skorzystam z tej propozycji, pułkowniku. Lepiej przejdźmy do drugiego etapu.

— Do drugiego etapu? — Li zmarszczył brwi. — Nie rozumiem.

— Nie przykłada się pan należycie do obowiązkowych lektur — stwierdził Chavasse. — Mam na

myśli najnowszy biuletyn Komitetu Centralnego. *Przesłuchiwanie więźniów politycznych i ich sojusz-ników*. Zalecenie jest wyraźne: wobec pojmanego najpierw bądź miły, a następnie tak przykry jak tylko można. Z wykorzystaniem doświadczeń towarzysza Pawłowa, naturalnie.

Teraz westchnął z kolei pułkownik Li.

— Ciągłe nas nie rozumiecie. — Nacisnął przycisk na biurku. Prawie natychmiast otworzyły się drzwi i stanął w nich sierżant.

— A co teraz? — zapytał Chavasse, podnosząc się ciężko z krzesła.

— To zależy od ciebie. — Pułkownik wzruszył ramionami. — Mogę dać ci kilka godzin do namysłu. Potem... — Raz jeszcze wzruszył ramionami i sięgnął po następny raport.

Obydwaj szeregowcy czekali na zewnątrz. W tym samym szyku co przedtem przemaszerowali z

więźniem do schodów prowadzących w dół, a następnie zwrócili się w kierunku jasno oświetlonego korytarza. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się rząd ciężkich, drewnianych drzwi. Sierżant otworzył jedno z nich i wepchnął Chavasse'a do środka.

Była to niewielka kamienna cela bez okien, a przy przeciwległej ścianie stała żelazna prycza. Drzwi zatrzasnęły się za więźniem i otoczyła go kompletna ciemność. Macając po oślizgłych od wilgoci ścianach, dotarł do pryczy. Nie było na niej materaca, ale był w takim stanie, że mógłby zasnąć choćby na podłodze. Położył się i natychmiast poczuł, jak zardzewiałe sprężyny wpijają mu się w

plecy. Zapatrzył się w ciemność.

A więc postanowili dać mu trochę oddechu. Nie rozumiał dlaczego, ale od razu się odprężył. Był przecież tak zmęczony. Ręce i nogi darły go nieznośnie, a tkwiący w samym środku czoła ból dokuczał

uporczywie. Odetchnął głęboko i zamknął oczy. W tym samym momencie cela wypełniła się przeraźliwym hałasem.

Zerwał się na równe nogi, drząc na całym ciele. Źródłem hałasu był spory dzwonek zawieszony nad drzwiami, widoczny teraz w zapalającym się i gasnącym co chwilę czerwonym świetle.

Stał osłupiały, z głową zadartą ku górze, czując mdłości. Wiedział, że rozpoczął się właśnie następny etap. Po chwili klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otworzyły się i stanął w nich sierżant.

Uśmiechał się grzecznie z rękoma wspartymi na biodrach. Chavasse wyszedł z celi. Eskortowało go dwóch szeregowców. Kiedy sierżant otworzył zamykające korytarz drzwi, powitały ich strugi ulewnego deszczu. Wyszli w noc.

Kazano mu czekać na środku podwórza w asyście obydwu żołnierzy, podczas gdy sierżant poszedł w kierunku ciężarówki zaparkowanej obok wartowni. Chavasse czuł przeszywające jak ciosy bagnetu uderzenia zimnego, stepowego wiatru. Myślał o tym, co się stanie. Nagle dwie oślepiające strugi światła z włączonych reflektorów ciężarówki wydobyły go z mroku podwórza.

Sierżant wrócił i podnosząc w górę automat, dał pozostałym jakiś sygnał. Odstąpili w ciemność.

Chavasse czekał, usiłując wyobrazić sobie dalszy ciąg. Przez chwilę wydawało się, że na całym podwórzu są tylko oni dwaj. Ostrożnie, nie spuszczać oczu z automatu, postąpił krok naprzód i w tej samej chwili uderzył go od tyłu strumień lodowatej wody.

Siłę uderzenia można by porównać do ciosu maczugi. Ledwie utrzymał się na nogach. Odwrócił się i kolejny strumień wody trafił go w twarz. Żołnierze stali ze strażackimi sikawkami w rękach, zaśmiewając się do rozpuku.

Ciało Chavasse'a zdawał się wykręcać spazm, wyciskający powietrze z jego płuc, podczas gdy lodowaty wiatr przewiewał na wylot mokre ubranie i kąsał ciało. Usiłował zrobić jeden chwiejny krok ku prześladowcom. Wyciągnął ręce przed siebie, ale sierżant walnął go kolbą w nerki. Powalony na ziemię, nie miał już siły, aby przeciwstawić się razem i kopniakom.

Kiedy odzyskał przytomność, leżał na środku podwórza twarzą do ziemi. Otworzył oczy. Oślepiły go światła reflektorów. Usłyszał jakieś głosy. Podniesiono go z kałuży i powleczono w kierunku oświetlonych od wewnątrz drzwi.

Bez wątplenia znowu, podtrzymywany przez żołnierzy, znajdował się przed biurkiem pułkownika Li.

Sierżant zapukał, otworzył drzwi i weszli do środka.

Stał w asyście obydwu szeregowców przed biurkiem i po raz drugi tej samej nocy miał okazję przyrzeć się swemu odbiciu w lustrze oprawionym w złote ramy. Wyglądał raczej niezwykle. Czarne włosy, zlepione wodą, opadały mu na czoło. Jedno oko ginęło w opuchliznie, a cała prawa połowa twarzy była nabrzmiała i zeszpecona przez wielki, czerwony siniak. Krew kapiąca z rozbitych warg plamiła przód porozdzieranej koszuli.

Pułkownik Li spojrział na Chavasse'a i westchnął.

— Jest pan straszliwie upartym człowiekiem, przyjacielu. I po co to wszystko?

Butelka whisky stała ciągle na blacie biurka. Chińczyk napełnił szklankę i postawił przed więźniem.

Żołnierze opuścili Chavasse'a na krzesło, a sierżant ujął naczynie, zbliżając je do ust więźnia.

Chavasse jęknął z bólu, gdy od alkoholu zapiekły go poranione wargi, ale po chwili fala ciepła przeniknęła jego ciało i Anglik poczuł się trochę lepiej.

— Urządziłeś sobie niezłe widowisko — wycharczał.

— Naprawdę wyobrażasz sobie, że gustuję w czymś takim? — Twarz pułkownika wykrzywił spazm złości. — Czy uważasz mnie za barbarzyńcę? — Nacisnął przycisk dzwonka na biurku. — Ale dosyć już zabawy w kotka i myszkę. Wiem, kim jesteś, przyjacielu. Wiem wszystko.

Drzwi otworzyły się i weszła młoda Chinka z plikiem dokumentów. Złożyła je na blacie biurka. Chavasse zauważył, że mundur leży na niej jak ulał, a skórzane, rosyjskie botki doskonale pasują do zgrabnych, smukłych nóg.

— Wszystko tu mamy. — Pułkownik Li wskazał na segregator. — Połączyłem się przez stolicę prowincji z naszym wywiadem w Pekinie. Z Lhasy do Pekinu daleka droga, ale te materiały nadeszły natychmiast. Nie wierzysz?

— To się okaże. — Chavasse wzruszył ramionami. Pułkownik Li otworzył segregator i zaczął czytać.

— „Paul Chavasse, urodzony w Paryżu w 1928 roku. Ojciec Francuz, matka Angielka. Studiował na Sorbonie, potem w Cambridge i w Harvardzie. Doktoryzował się w językach nowożytnych. Wykładowca na uniwersytecie w Manningham do 1954 r. Zatrudniony następnie jako agent przez Biuro — tajną organizację, którą posługuje się rząd brytyjski w swej nieustannej, podziemnej walce przeciwko wol-nym, komunistycznym krajom”.

Chavasse uświadomił sobie ze zdziwieniem, że to, iż tak dużo o nim wiedzą, nie wstrząsnęło nim.

Ani nawet nie przestraszyło. Po prostu całe jego ciało przeszywał ból i jedyne, co był w stanie uczynić, to trzymać oczy otwarte.

— Macie większą wyobraźnię niż sądziłem — oznajmił.

Pułkownik Li zerwał się oburzony.

— Dlaczego zmusza mnie pan do zastosowania brutalnych środków! — zawołał. — Czy tak postępuje dobrze wychowany człowiek? — Obszedł biurko i usiadł na jego krawędzi naprzeciw więźnia.

Potem odezwał się łagodnie, jakby próbował przekonać krnąbrne dziecko.

— Proszę tylko powiedzieć, co pan tu robi. To wszystko, co chcę wiedzieć. Potem zajmie się panem lekarz. Dostanie pan ciepłe łóżko i pożywienie. I wszystko, czego pan będzie sobie życzył.

Chavasse miał uczucie, że podłoga usuwa mu się spod nóg. Jego powieki stały się nagle niewiarygodnie ciężkie, a twarz pułkownika wydawała się puchnąć do olbrzymich rozmiarów. Usiłował otworzyć usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Pułkownik przysunął się bliżej.

— Powiedz mi to, Chavasse. To wszystko, czego chcę od ciebie. Zaopiekuję się tobą. Przrzekam ci.

Więzień zdołał jeszcze splunąć mu w twarz. Po chwili w jego głowie eksplodowały kolorowe światła, a on sam zanurzył się w wielkim morzu ciemności.

## 2. Człowiek nazwiskiem Hoffner

Chavasse stał w drzwiach klubu „Caravell” na Great Portland Street i patrzył ponuro na siąpiący deszcz. Zdążył przywyknąć do kapryśnej londyńskiej pogody i nawet polubić to miasto, ale teraz stwierdził, że godzina czwarta rano w listopadowy mokry dzień potrafi zmrozić nawet najcieplejsze uczucia.

W takim nastroju zszedł ze schodów na chodnik. W ustach czuł niesmak po zbyt wielu wypalonych papierosach, a w głowie kłębiło mu się wspomnienie stu piętnastu funtów, pozostawionych przy zielonym stoliku. To nie poprawiało humoru. Najwyraźniej zbyt długo pozostawał już w tym mieście. Minęły dwa miesiące, odkąd wrócił z urlopu po sprawie Caspara Schultza. Szef uparł się, żeby zakosztował nieco papierkowej roboty, którą równie dobrze mógłby wykonywać zwykły urzędniczyna.

Myśląc o swej sytuacji i zastanawiając się, co dalej począć, Chavasse znalazł się na rogu Baker Street. Spojrzał przypadkowo w górę i zobaczył, że w oknach jego mieszkania pali się światło.

Wobec tego przeszedł szybko przez jezdnię i pchnął obrotowe wejściowe drzwi do budynku. Hol był pusty i nigdzie nie było widać nocnego portiera. Chavasse stał przez chwilę, rozmyślając ze

zmarszczonymi brwiami, co powinien zrobić. W końcu zdecydował się wejść na trzecie piętro piechotą, rezygnując z windy.

Na korytarzu panowała kompletna cisza. Zatrzymał się przed drzwiami mieszkania, chwilę nasłuchiwał, a potem poszedł w kierunku kuchennego wejścia, wyjmując po drodze klucz.

Kobieta, siedząca na brzegu kuchennego stołu, przeglądała jakieś czasopismo, czekając aż zagotuje się woda na kawę. Była pulchna i atrakcyjna pomimo ciemnych i raczej niezgrabnych okularów.

Chavasse zamknął cicho drzwi, przeszedł na palcach przez pomieszczenie i pocałował ją w szyję.

— Zastanawiałem się właśnie, czy nie zadzwonić do jakiejś laleczki, pomimo niezbyt stosownej pory, bo akurat jestem więcej niż potrzebujący — oświadczył, szczerząc zęby w uśmiechu.

Jean Frazer odwróciła się i spojrzała na niego chłodno.

— Nie podlizuj się, tylko powiedz, gdzie, u diabła, byłeś? Szukałam cię od ósmej wieczorem, jak Londyn długi i szeroki, od Soho do West Endu.

— Czy wydarzyło się coś nadzwyczajnego? — Czuł narastające podniecenie.

— To ty mi powiesz. — Potrząsnęła głową. — Lepiej idź zaraz do salonu. Szefostwo wysiaduje w nim od północy, czekając kiedy raczysz się zjawić.

— A kawa?

— Przyniosę, kiedy będzie gotowa. — Pociągnęła nosem. — Znowu piłeś?

— Moja słodka, nie zachowuj się, jak jakaś cholerna żona — odparł zmęczonym głosem i wszedł do bawialni.

Przy kominku dwóch mężczyzn rozgrywało partię szachów. Jednego z nich Chavasse nie znał.

Siwy, grubo po sześćdziesiątce, w okularach w złotej oprawce, uważnie przyglądał się szachownicy.

Ten drugi wyglądał, na pierwszy rzut oka, na typowego wyższego urzędnika państwowego. Do-

brze ostrzyżony, miał na sobie nienagannie skrojony ciemnoszary garnitur i krawat, który tradycyjnie nosili wychowankowie szkoły w Eton \*( \* Miejscowość słynąca ze szkoły o wiekowej tradycji.).

Szpakowate włosy dopełniały całości obrazu.

Jednakże w chwili, w której szybkim ruchem odwrócił głowę, podobieństwo do urzędnika znikło bez śladu. Nie był to z pewnością człowiek przeciętny. Jego twarz wyrażała błyskotliwą inteligencję, a chłodne, szare oczy poczucie realizmu.

— Słyszałem, że pan mnie poszukuje — odezwał się Chavasse, zdejmując mokry płaszcz.

Szef uśmiechnął się lekko.

— To może nie dość mocne określenie — odparł. — Podejrzewam, że znalazłeś sobie jakąś nową zabawę.

— Zgadza się — przytaknął Chavasse — to klub „Caravell” przy Great Portland Street. Dają tam wyborowy stek i... mają salę, gdzie głównie grywa się w ruletkę i szmendefera.

— Czy to rzeczywiście aż tak interesujące miejsce?

— Właściwie nie — zaśmiał się Chavasse. — Taka sama nuda jak gdzie indziej, a ponadto cholernie drogo. Najwyższy czas, żebym zajął się czymś bardziej atrakcyjnym.

— Myślę, że mamy coś dla ciebie, Paul — ale teraz chciałbym, żebyś poznał profesora Craiga.

Profesor z uśmiechem uścisnął dłoń Chavasse'a.

— Więc to pan jest tym poliglotą? — Dużo o panu słyszałem, młody człowieku.

— Mam nadzieję, że nic złego — odparł Chavasse, wyjął papierosa z pojemnika na stoliku i przysunął sobie krzesło.

— Profesor Craig jest prezesem międzynarodowego programu badania kosmosu, zainicjowanego ostatnio przez NATO — oświadczył szef. — Przybył do nas z dość niezwykłą sprawą. Mówiąc szczerze, uważam, że jesteś jedynym agentem Biura, który ma szansę wykonać takie zadanie.

— No cóż. Ten wstęp mi pochlebia. Ale co to za sprawa? Szef uważnie osadzał tureckiego papierosa w eleganckiej, srebrnej cygarniczce.

— Kiedy byłeś ostatni raz w Tybecie? — zapytał wreszcie.

— Wie pan równie dobrze, jak ja. — Chavasse zmarszczył brwi. Dwa lata temu, kiedy ewaku-

owaliśmy Dalaj Lamę.

— A czy miałbyś ochotę tam powrócić? Chavasse wzruszył ramionami.

— Nie zapomniałem języka, którym się posługują Tybetańczycy, więc się dogadam. Niepokoi mnie tylko, że nie jestem do nich zbyt podobny.

— Ale, jeśli dobrze zrozumiałem, dwa lata temu dopomógł pan Dalaj Lamie bezpiecznie opuścić Tybet — wtrącił profesor Craig. — Zgadza się — przytaknął Chavasse — ale to było co innego. Można było załatwić sprawę w ciągu kilku dni. Akcja spaliłaby na panewce, gdybym musiał pozostawać tam przez dłuższy czas. Nie wiem, czy pan słyszał, że podczas wojny w Korei żaden schwytany przez komunistów żołnierz aliancki nie próbował podejmować ucieczki. Powody były oczywiste. Zrzućcie mnie do Rosji w odpowiednim ubraniu, a gotów jestem przespacerować się choćby pod Kremlem. W Pekinie czułbym się jak raróg.

— Jasno powiedziane — stwierdził szef. — A jeśli, mimo twoich zastrzeżeń, zdecydujemy się wziąć tę sprawę?

— To pozostają jeszcze Chińczycy. Znacznie umocnili się w Tybecie po stłumieniu powstania. Chociaż możliwość dokładnej kontroli tak rozległego, górskiego obszaru jest raczej wątpliwa — Chavasse zawahał się, a po chwili zapytał. — Czy to coś szczególnie ważnego?

Szef z powagą skinął głową.

— Jest to chyba najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek ci proponowałem.

— Wobec tego powiedzcie mi, o co właściwie chodzi.

— A jak myślisz, co — szef oparł się wygodnie w fotelu — jest obecnie najważniejszym problemem w skali międzynarodowej? Bomba atomowa?

— Nie — potrząsnął głową Chavasse. — Nie sędzę. Raczej wyścig o opanowanie kosmosu.

Przełożony przytaknął.

— Zgadzam się z tobą. Fakt, że John Glenn i jego następcy tak skutecznie przyćmili wyczyn

Gagarina i Titowa, napawa naszych rosyjskich przyjaciół wielką troską. Pozostawiamy ich coraz bardziej w tyle i oni o tym wiedzą.



— Czy mogą na to cokolwiek poradzić? — zapytał Chavasse.

— Pracują nad tym i są niezłe zaawansowani. Zresztą posłuchaj profesora Craiga. Jest specjalistą w tej dziedzinie.

Profesor zdjął okulary i zaczął czyścić szkła chusteczką.

— Największym problemem pozostaje zawsze napęd, panie Chavasse — oświadczył. — Budowanie większych lub lepszych rakiet nie satysfakcjonuje dzisiaj nikogo. Czy chodzi o podróż na Księżyc, czy o dalsze wycieczki.

— I Rosjanie już coś wymyślili? — domyślał się Chavasse.

— Jeszcze nie. — Profesor potrząsnął przecząco głową. — Są jednak tego bliscy. Od 1956

pracują nad rakieta jonową, która mogłaby wykorzystywać energię emitowaną przez gwiazdy, jako podstawowy napęd.

— To mi wygląda na wątek z powieści fantastyczno-naukowej — skomentował Chavasse.

— Chciałbym, żeby tak było, młody człowieku. Na nieszczęście, jest to twarda rzeczywistość i jeżeli nie znajdziemy szybko innego rozwiązania, to wkrótce zostaniemy pokonani.

— I, jak rozumiem, *istnieje* inne rozwiązanie? — cicho zapytał Chavasse.

Profesor założył na powrót okulary i kiwnął twierdząco głową.

— W normalnych warunkach powiedziałbym, że nie. Jednakże w świetle informacji, które ostatnio do mnie dotarły, sądzę, że mamy pewną szansę.

Szef biura pochylił się ku nim.

— Dziesięć dni temu pewien młody tybetański szlachcic przedostał się do Srinagar, stolicy Kaszmiru. Zaopiekował się nim Ferguson, nasz rezydent w tym mieście. Oprócz wielu cennych informacji o sytuacji w zachodnim Tybecie, młody człowiek przywiózł list zaadresowany do profesora Craiga. Nadawcą był niejaki Karol Hoffner.

— Słyszałem o nim. — Chavasse zmarszczył brwi. — Czy to nie jest misjonarz, zajmujący się również medycyną?

— Tak — potwierdził szef — jest to cudowny facet, o którym całkiem zapomniano. Jego kariera

przypomina nieco życie Alberta Schweitzera. Lekarz i muzyk w jednej osobie. Ponadto matematyk i filozof. Poświęcił czterdzieści lat życia Tybetowi.

— I jeszcze żyje? — zdziwił się Chavasse.

— Tak — odparł szef — egzystuje w maleńkiej miejscinie Changu, położonej w odległości około stu pięćdziesięciu mil od granicy z Kaszmiem. Od czasu zagarnięcia Tybetu przez Chiny trzymają go w areszcie domowym. Tak mi doniesiono.

— A ten list? — Chavasse zwrócił się do Craiga. — Dlaczego zaadresował go właśnie do pana?

— Studiowaliśmy razem i przez kilka lat wspólnie prowadziliśmy badania. — Profesor westchnął ciężko. — To jeden z największych umysłów epoki, panie Chavasse. Mógł zyskać sławę Einsteina, u zagrzebał się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku świata.

— Ciekaw jestem, co do pana napisał.

— Nic takiego, co mogłoby być ważne dla naszego zadania. Po prostu list do starego przyjaciela. Dowiedział się, że ów młody tybetańczyk zamierza zbiec do Indii, więc zdecydował się wykorzystać okazję, aby skreślić do mnie parę słów. Prawdopodobnie po raz ostatni. Jest bowiem słabego zdrowia.

— A jak go traktują?

— Chyba nieźle. Zawsze budził w ludziach miłość i szacunek. Sądzę, że komuniści posługują się nim jako pewnego rodzaju symbolem. Zmuszony pozostawać w domu, poświęcił się bez reszty matematyce, która zawsze była jego największą miłością.

— Aha, więc to o to chodzi! — wykrzyknął Chavasse.

— Karol Hoffer jest przypuszczalnie największym matematykiem wszystkich czasów — oświadczył uroczyście profesor Craig. — leżeli panowie nie mają nic przeciwko temu, przejdę do technicznego meritum sprawy.

Chavasse uśmiechnął się przyjaźnie.

— Proszę bardzo.

— Nie mam pojęcia, na ile orientujecie się w podstawowych zagadnieniach tej nauki — zaczął

Craig — jednakże, jak przypuszczam, pamiętacie ze szkoły przynajmniej to, co stwierdził Einstein na temat wzajemnych powiązań energii i materii?

—  $E = mc^2$  — zaśmiał się Chavasse. — Na razie nadążam.

— Otóż Karol Hoffner, jeszcze jako młodzieniec, dowodził w pracy doktorskiej, że przestrzeń kosmiczna jest energią i że można energię, tak rozumianą, ująć w pewien wzór. Dowód tego twierdzenia pociągał za sobą śmiałe przekształcenie geometrii nie-euklidesowej, równie rewolucyjne jak teoria względności Einsteina.

— Teraz już mi pan całkiem zamieszał w głowie — przyznał Chavasse.

— Nie szkodzi — uśmiechnął się Craig. — Przypuszczam, że jedynie sześć umysłów na świecie jest w stanie pojąć owo twierdzenie w całej rozciągłości. Wywołało w swoim czasie znaczne zainteresowanie w kręgach akademickich, ale później zostało zapomniane. W końcu to była czysta teoria. Uważano, że prowadzi donikąd i że nie ma żadnych praktycznych zastosowań.

— A obecnie Hoffner rozwinął ją — domyślił się Chavasse. — Czy do tego pan zmierza, profesorze?

Craig przytaknął ruchem głowy.

— Wspomniał o tym, całkiem przypadkowo, w swoim liście. Stwierdził od niechcenia, że znalazł ostateczne rozwiązanie problemu. Udowodnił, że kosmosem można manipulować, jeżeli potraktuje się go jako pole energetyczne.

— Czy to takie istotne?

— Istotne? — zachnął się Craig. — Po pierwsze, takie odkrycie sprawia, że cała fizyka jądrowa przechodzi do prehistorii. Po drugie, rzuca całkowicie nowe spojrzenie na problem podróży kosmicznych. Moglibyśmy produkować energię potrzebną do napędu rakiet i statków międzygwiazdnych z samej przestrzeni kosmicznej i byłoby to rozwiązanie o wiele bardziej efektywne od pomysłu Rosjan, którzy zamierzają w tym celu wykorzystać napęd jonowy.

— Czy, pana zdaniem, Hoffner zdaje sobie sprawę z wagi swego odkrycia?

— Nie jestem pewien. — Craig potrząsnął głową. — Obawiam się, że nie ma pojęcia, iż dokonywane są loty orbitalne. Gdyby wiedział, że ludzie przekroczyli już granice kosmosu, to z pewnością umiałby też ocenić wartość swej teorii.

— To niewiarygodne — zdumiał się Chavasse — całkiem niewiarygodne.

— Jeszcze bardziej wstrząsający jest fakt, że to kolosalne odkrycie nie przyniesie nam żadnego pożytku tak długo, jak długo pozostanie zamknięte w umyśle chorego, starego człowieka, przebywającego w domowym areszcie w kraju podbitym przez komunistów. Musimy go stamtąd wydość, Paul — odezwał się szef.

Chavasse westchnął.

— No cóż, sam się prosiłem o nowe zadanie, więc je mam, chociaż sam diabeł wie, jak się do niego zabrać.

— Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. — Szef zdjął ze stolika szachownicę i rozwinął na nim mapę. — To ten obszar, Kaszmir i zachodni Tybet. Jak powiedziałem, Changu znajduje się w odległości około stu pięćdziesięciu mil od granicy. Zauważcie panowie, że około pięćdziesięciu mil w głąb Tybetu leży osiedle

Rudok. Ferguson doniósł mi, iż jak go poinformował młody Tybetańczyk, Chińczycy nie kontrolują w pełni tego terytorium. Ponadto klasztor położony w pobliżu Rudok jest ciągle jeszcze gniazdem zbrojnego oporu. Gdybyś zdołał tam dotrzeć, to miałbyś jakieś zaplecze. Ale oczywiście dalej musisz kierować się wyłącznie wyczuciem sytuacji.

— Dwa zasadnicze pytania — odezwał się Chavasse. — Jak się tam dostanę i w jaki sposób przekonam miejscowych patriotów, żeby mi pomogli?

— To już zostało załatwione — oznajmił szef. — Od wczoraj wieczorem, kiedy to profesor Craig przyszedł do mnie i poinformował, że w liście Hoffnera kryje się coś więcej niż to widać na pierwszy rzut oka, łączyłem się z Fergusonem w Srinagarze co najmniej cztery razy, korzystając z zastrzeżonego pasma. On wszystko zorganizował. Będzie ci towarzyszył ów młody Tybetańczyk.

— A jak się tam dostaniemy?

— Załatwimy wam specjalny przelot.

— Czy jest pan pewien — Chavasse zmarszczył brwi — że taki lot z Kaszmiru jest możliwy?

Przecież Ladakh to są cholernie wysokie góry.

— Ferguson wytrzasnął skądś niesamowitego pilota. Nazywa się Jan Kerensky. To Polak, który latał w RAF-ie podczas wojny. Obecnie pracuje dla rządu indyjskiego, wykonując w tym obszarze

loty rozpoznawcze. Jest tam stary pas startowy RAF-u, nie opodal miejscowości Leh, który ten człowiek wykorzystuje jako lotnisko. To tylko sto czterdzieści, góra sto pięćdziesiąt kilometrów od granicy z Tybetem. Zaoferowaliśmy mu pięć tysięcy funtów za dostarczenie cię do klasztoru w pobliżu Rudok i drugie pięć za zabranie ciebie z powrotem dokładnie tydzień później.

— Uważa, że da radę?

— Tak — szef skinął głową. — Powiedział, że zadanie jest wykonalne. Oczywiście musicie mieć piekielnie dużo szczęścia.

— Mów do mnie jeszcze... — Chavasse wzruszył ramionami. — Kiedy mam się zbierać?

— Bombowiec typu Wulkan startuje z lotniska RAF-u w Fdgeworth o dziewiątej. Poleci do Singapuru. Wsiądziesz w Adenie, a stamtąd polecisz do Kaszmiru.

Szef biura podniósł się.

— To chyba wszystko, profesorze. Odwiozę pana do domu. Najwyższy czas, aby położył się pan do łóżka.

Kiedy Craig zbierał się do wyjścia, Chavasse przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym.

— Chwileczkę, panie profesorze — rzekł. — Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, chciałbym jeszcze o coś zapytać.

Craig usiadł ponownie, a Chavasse kontynuował:

— Pozostaje pytanie, w jaki sposób mam zdobyć zaufanie pana Hoffnera. Jak udowodnić swoją tożsamość? Co zrobić, żeby nie było choćby cienia wątpliwości, że jestem tym, za kogo się podaję.

Czy może mi pan coś doradzić w tym względzie?

Craig patrzył przez chwilę w milczeniu przed siebie, marszcząc brwi. Potem, całkiem nieoczekiwanie, uśmiechnął się.

— Jest coś w przeszłości Karola, o czym wiemy tylko my dwaj. Kochaliśmy się w tej samej dziewczynie. Pewnego majowego wieczora byliśmy w jego pokoju w Cambridge i zdecydowaliśmy się załatwić tę sprawę raz na zawsze. Przedmiot naszych westchnień oczekiwał w ogrodzie. Rzu-

caliśmy monetę, który z nas ma iść do niej pierwszy. Wyszło na Karola. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, kiedy wrócił. Potem, gdy już przyjęła moje oświadczenia, zostałem jeszcze z nią w ogrodzie, a Karol usiadł w ciemnym pokoju i zagrał dla nas Sonatę Księżycową. Jak pan wie, jest doskonałym pianistą.

— Dziękuję panu — powiedział cicho Chavasse.

— To było bardzo, bardzo dawno, młody człowieku, ale jestem pewien, że Karol pamięta każdy szczegół tego wieczoru. — Craig wyciągnął rękę na pożegnanie. — Mogę tylko *icyt* panu szczęścia, panie Chavasse. Mam nadzieję, że się wkrótce znowu spotkamy.

Zapiął płaszcz i ruszył ku drzwiom. Szef Biura odwrócił się nagle i uśmiechnął:

— No cóż, Paul, to nie będzie łatwa sprawa. Pamiętaj jednak, jak jest ważna dla nas wszystkich.

Jean pozostanie, aby przyrządzić ci jakiś ludzki posiłek. Potem odwiezie cię do Edgeworth i pomacha chusteczką na pożegnanie. Przykro mi, że nie będę mógł cię osobiście pożegnać, ale o dziewiątej trzydzieści mam ważną naradę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

— W porządku, szefie — odparł Chavasse.

Dyrektor biura otworzył profesorowi drzwi i odwrócił się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

Po chwili jednak rozmyślił się i wyszedł, cicho zamykając je za sobą.

Chavasse stał przez dłuższy czas na środku pokoju, ćmiąc papierosa. Potem poszedł do kuchni.

Jean Frazer przyrządzała właśnie jajka na bekonie. Na odgłos kroków odwróciła się i pociągnęła nosem.

— Może wreszcie zdecydowałbyś się wziąć prysznic? Pachniesz równie okropnie, jak wyglądasz.

— Też byś tak wyglądała, gdyby ci zlecono podobne zadanie — odgryzł się. — Miała być kawa, o ile pamiętam.

— Nie chciałam wam przeszkadzać. — Zawahała się, a potem podeszła ku niemu, wygładzając nerwowym ruchem sukienkę na biodrach. — Coś jest nie w porządku, Paul, czy tak?

— Ta sprawa śmierdzi. Mówiąc oględnie. — Uśmiechnął się cierpko. — Czasami zastanawiam się, co ja właściwie robię w tym całym cyrku!

Nieoczekiwanie w jej oczach pojawiły się łzy. Pochylił się szybko i pocałował dziewczynę w usta.

— Daj mi dziesięć minut na prysznic i przebranie. Potem zjemy razem śniadanie i możesz zawieźć mnie ku memu przeznaczeniu.

Odwróciła się szybko, aby otrzeć oczy, a on przeszedł do salonu i zaczął zdejmować krawat. Potem otworzył okno i stanął w nim, oddychając przez chwilę świeżym powietrzem. Nagle poczuł podniecenie — niesamowite podniecenie. Takie, jakiego doznawał wyłącznie przed wykonaniem kolejnego zadania. Pierwszy raz od dwóch miesięcy oddychał pełną piersią. Kierując się ku łazience, pogwizdywał wesoło.

### 3. Na antypodach

Następnego ranka Chavasse przechodził już przez halę przylotów portu lotniczego w Srinagar.

Ferguson czekał na niego przy wyjściu. Był to wysoki, siwiejący mężczyzna około czterdziestki, chłodny i opanowany. Wyglądał doskonale w białym, lnianym garniturze.

Na widok przyjaciela uśmiechnął się ciepło.

— Ileż to lat minęło, Paul. Jak się miewasz?

Chavasse czuł się nieswojo, niewyspany i wymiętoszony. Mimo to spróbował odwzajemnić uśmiech.

— Kiepsko, chyba to po mnie widać. Przyleciałem do Adenu na czas, ale potem wpadliśmy w burzę, w związku z czym nie zdążyłem na lot do Delhi. Poniewierałem się na lotnisku przez długie godziny, oczekując na połączenie.

— Wobec tego musisz natychmiast wziąć prysznic i napić się czegoś mocniejszego — rzekł Ferguson. — Masz jakiś bagaż?

— Tym razem podróżuję ze szczoteczką do zębów. — Chavasse uniósł w górę niewielką płócienną torbę. — Liczę na ciebie. Mam nadzieję, że wyposażysz mnie stosownie do okoliczności.

— Wszystko jest przygotowane — odparł Ferguson. — Chodźmy stąd. Zaparkowałem nieopodal auto.



Kiedy wjechali do Srinagar, Chavasse zapalił papierosa i przyglądał się przez okno auta wspaniałym, białym szczytom gór rysującym się niby koronki na tle intensywnie błękitnego nieba — Więc to jest ta słynna dolina Kaszmiru?

— Rozczarowałeś się?

— Przeciwnie — zachwycał się Chavasse. — Nic, co czytałem na temat tego miejsca, nie oddaje dostatecznie jego urody. Jak długo już tu jesteś?

— Jakieś osiemnaście miesięcy. — Ferguson pokazał w uśmiechu zęby. — Odstawiono mnie od czynnej służby, ale nie narzekam. Jestem teraz spokojnym urzędnikiem.

— A jak noga?

Ferguson wzruszył ramionami.

— Mogło być gorzej. Czasami mam uczucie, jakby mi odrosła. Lekarze mówią, że takie halucynacje mogą mnie nawiedzać jeszcze przez kilka lat.

Zjechali niżej. Ferguson zręcznie prowadził auto przez kręte i wąskie uliczki w okolicy bazaru, a Chavasse, przyglądając się gęstniejącemu tłumowi ludzi, rozmyślał nad losem Fergusona. Zręczny, skuteczny agent, jeden z najlepszych w Biurze, aż do tej nocy w Algierze, kiedy ktoś wrzucił przez okno granat do jego sypialni. To może się zdarzyć każdemu. Bez względu na to, jak jesteś dobry, jak ostrożny, prędzej czy później los padnie na ciebie.

Odrzucił od siebie złe myśli i zapalił następnego papierosa.

— A ten lotnik — Kerensky? Czy to rzeczywiście odpowiedzialny facet?

— To jeden z najlepszych pilotów, jakich znam — odparł Ferguson. — Dowódca eskadry RAF-u w czasie wojny. Ma wszystkie możliwe alianckie odznaczenia. Ponadto przebywa w Kaszmirze ponad pięć lat.

— Jak się sprawia?

— Jest nadzwyczajny. Latanie nad górami jest niezwykle trudne. I wierz mi, Kerensky nie musi się bać konkurencji.

— Naprawdę uważa, że może mnie dostarczyć bezpiecznie w okolicę Rudok?

Ferguson uśmiechnął się.

— Za te pieniądze, które mu płacimy, poleciałby do piekła i z powrotem. Nie boi się niczego.

— Czy mieszka w Srinagar?

— Tak. Ma własną łódź mieszkalną na rzece. Prawdę mówiąc, to tylko pięć minut drogi od mego mieszkania.

Wjechali do przeciwległej części miasta i Ferguson, zwolniwszy, skręcił w wewnętrzną drogę prowadzącą do uroczego, białego bungalowu. Służący, ubrany w szkarłatny turban i białą koszulę, zbiegł ze schodów werandy i uwolnił gościa od torby.

Wewnątrz, dzięki żaluzjom, było chłodno i mroczno. Ferguson pokazał przyjacielowi drogę do łazienki, wyłożonej białymi, lśniącymi kafelkami i zaskakującej nowoczesnym wyposażeniem.

— Znajdziesz tu wszystko, czego ci potrzeba — oznajmił. — Poleciałem chłopcu, aby przygotował świeże ubranie. Ja będę na tarasie.

Kiedy wyszedł, Chavasse przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Białka oczu miał przekrwione, a twarz wymiętą. Zarost wymagał niezwłocznego zgolenia. Agent Biura westchnął ciężko i zaczął się rozbierać.

Dwadzieścia minut później zjawił się na tarasie, ubrany w czyste, bawełniane spodnie i nieskazitelnie białą koszulę. Włosy miał jeszcze mokre od kąpieli, ale czuł się już jak nowo narodzony. Ferguson siedział przy niewielkim stoliku w cieniu parasola. Poniżej obszerny ogród ciągnął się aż do brzegu rzeki Jhelum.

— Masz stąd piękny widok — stwierdził Chavasse.

— Wieczorem jest jeszcze piękniej — odparł zadowolony Ferguson. — Kiedy słońce chowa się za szczytami gór, widok jest wprost wspaniały. Możesz mi wierzyć.

Pojawił się służący z tacą, na której stały dwie wysokie szklanki wypełnione zamrożonym płynem. Chavasse pociągnął spory łyk i westchnął z zadowoleniem, świadom doznawanej przyjemności.

— Właśnie tego potrzebowałem. Czuję się znowu ludzką istotą.

— Miło mi to słyszeć — oświadczył Ferguson. — A może zjadłbyś co nieco?

— Jadłem w samolocie — odparł Chavasse — a ponadto chciałbym jak najprędzej poznać tego Kerensky'ego, jeżeli ci to nie przeszkadza.

— Ależ oczywiście. — Ferguson powstał z krzesła i poprowadził gościa w dół, po kamiennych schodach, w stronę spalonego przez słońce trawnika.

Kiedy wyszli z ogrodu przez tylną furtkę i szli kamienistą ścieżką ku rzece, Chavasse poprosił Fergusona, by ten powiedział mu coś na temat tybetańskiego szlachcica, który miał być jego przewodnikiem.

— Joro? — upewnił się Ferguson. — Myślę, że będziesz zaskoczony. Ma około trzydziestu lat, jest nieprzeciętnie inteligentny i mówi doskonale po angielsku. Zdaje się, że gdy był jeszcze dzieckiem, Hoffer wysłał go na trzy lata do szkół w Delhi. Joro darzy go niemal synowskim uczuciem.

— Gdzie jest teraz?

— Mieszka w obozie przesiedleńców poza miastem ze swoimi rodakami. Ostatnio bardzo wielu Tybetańczyków wybrało wolność, przekradając się przez granicę. — Ferguson nagle przerwał i wskazał ręką przed siebie. — A tu mieszka Kerensky.

Jakieś czterdzieści metrów przed nimi widniała czerwono-złota mieszkalna łódź, przycumowana do nabrzeża. Mężczyzna stojący na dachu kabiny ubrany był tylko w kąpielówki. Zanim podeszli bliżej, wskoczył elegancką jaskółką do wody.

Ferguson, ze względu na swoją nogę, miał pewne kłopoty z pokonaniem wąskiego trapu, więc Chavasse, wyprzedzwszy go, wyciągnął ku niemu dłoń. Wyszorowany do czysta pokład i cała łódź były w znakomitym stanie.

— A jak jest wewnątrz? — zapytał zdziwiony Chavasse.

— Pierwszorzędnie — odparł Ferguson. Ludzie co roku płacą wielkie pieniądze, żeby móc spędzić wakacje na czymś takim.

Kilka krzeseł z wyplatanej trzciny i takież stół stały nie opodal steru, więc usiedli i czekali na gospodarza, który już ich spostrzegł i wracał do łodzi szybkim, swobodnym kraulem. Wskoczył na pokład wsparłszy się o brzeg łodzi. Woda ściekała po jego muskularnym torsie. Wyszczrzył do

nich zęby w przyjaznym uśmiechu.

— Ach, to pan Ferguson, facet z wielką forszą. Myślałem już, że zrezygnował pan.

— Mój przyjaciel spóźnił się na samolot do Delhi — wyjaśnił Ferguson.

Jan Kerensky był ujmująco brzydki. Jego czoło osłaniała stalowoszara grzywa włosów, kiedy zaś się uśmiechał, całą twarz pokrywała siateczka drobniutkich zmarszczek.

— Mam nadzieję, że ma pan mocne nerwy — zwrócił się do gościa. — Będzie ich pan potrzebował.

Chavasse od pierwszej chwili poczuł do tego człowieka sympatię.

— Ferguson powiada, że oddaje mnie w dobre ręce. Kerensky znowu uśmiechnął się szeroko.

— Nie wypada mi mówić, że podzielam jego zdanie. Pozostawię to pańskiej ocenie — odparł.

— Przepraszam panów na chwilę.

Przeszedł przez pokład i zniknął w głębi kabiny.

— Twardziel — zauważył Chavasse.

— I jeszcze jaki! — stwierdził z przekonaniem Ferguson. — Jeżeli w ogóle takie przedsięwzięcie jest możliwe, to on tego dokona.

Kerensky wrócił z tacą, na której widniały drinki. Rozłożył na stole mapę i usiadł.

— To mrożona wódka, panowie. Najlepszy napój pod słońcem. Chavasse łyknął zdrowo.

— To polska wódka? — zapytał.

— Oczywiście — odparł pilot. — Uważam, że jest najlepsza. W takim klimacie jak ten, człowiek musi o siebie dbać. — Poklepał się po torsie. — Nieźle jak na czterdzieści pięć lat, no nie?

Chavasse starał się ukryć rozbawienie, choć przychodziło mu to z trudnością.

— Wygląda pan jak kulturysta — oświadczył. Kerensky usunął ze stołu tackę i pochylił się nad mapą.

— Przystąpmy do sprawy. Ferguson mówił, że pan już był kiedyś w Tybecie?

— Znam, jako tako, jedynie południowo-wschodni Tybet — przyznał Chavasse.

— Zachodni bardzo się różni. Prawie cały położony jest na wysokości od czterech i pół do

pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza. Bardzo dziki i skalisty kraj.

— Myśli pan, że mamy szansę dostać się tam?

— Spróbujemy. — Kerensky wzruszył ramionami. — Niedaleko miejscowości Leh znajduje się pas startowy, z którego korzystam w nagłych wypadkach. Ta miejscowość, to właściwie wioska

położona na poziomie prawie trzech i pół tysiąca metrów, niedaleko wschodniego Indusu. Stamtąd do Rudok jest już tylko niecałe dwieście kilometrów.

— A co z lądowaniem?

— Rozmawiałem już z Tybetańczykiem, który wraz z panem leci. Opisał mi doskonale lądowisko, jakieś trzynaście kilometrów na wschód od Rudok. Płaski, piaszczysty teren nad jeziorem.

— To mi się podoba — oświadczył Chavasse. — Jakim samolotem polecimy?

— Będzie to Havilland Beaver. Tylko mały i lekki samolot, łatwy w manewrowaniu, daje szansę powodzenia w wysokich górach — odparł Kerensky. — Wlecimy do Tybetu przez przełęcz Pangong Tso. Ma około czterech i pół tysiąca metrów, ale jakoś prześlizgniemy się nad nią na brzuchu.

Jednak muszę pana ostrzec. Nie jedziemy na majówkę. Na przełęczy grubą warstwą zalega śnieg i lód. Jeżeli chce się pan wycofać, to ma pan jeszcze czas.

— Miałbym psuć panu frajdę? — zachnął się Chavasse. — Kiedy lecimy?

— Podoba mi się pan, przyjacielu. — Polak znowu wyszczerzył zęby. — Niewiele brakowało, a

przewiozłbym was bez forsy, tylko dlatego, że kocham latać. Niestety, jak zwykle, zwyciężyła ta bardziej wyrachowana strona mojej natury. Polecimy do Leh jeszcze tego popołudnia. W nocy jest pełnia księżyca. Jeżeli niebo będzie czyste, spróbujemy od razu przedostać się nad Rudok, ale przy zachmurzeniu nie zdołamy pokonać gór.

— Jak ci to odpowiada, Paul? — zapytał Ferguson. Chavasse wzruszył ramionami.

— Im wcześniej polecimy, tym wcześniej wrócimy. O której odlot?

— Spotkajmy się o trzeciej na lotnisku — zdecydował Kerensky. — A co z tym Tybetańczykiem?

— Zaraz się z nim skontaktujemy — odparł Ferguson. — Będzie na czas.

Wstali. Kerensky wziął szklanekę i wznosił toast.

— Jak to mówią w Polsce: „Oby nam się lekko umierało!” Jego twarz pozostawała przez chwilę poważna, potem wychylił

zawartość szklanki do dna i uśmiechnął się.

—  
Teraz, jeżeli panowie nie mają nic przeciwko temu, chciałbym dokończyć trening.

Zrzucił błyskawicznie ubranie i wskoczył ponownie do wody. Chavasse i Ferguson przeszli mostem na nabrzeże i skierowali się z powrotem do bungalowu.

W drodze ze Srinagaru do obozu dla uchodźców, Ferguson milczał ze ściągniętą twarzą.

— Co cię dręczy? — zapytał go Chavasse.

— Właściwie nic takiego. — Ferguson wzruszył ramionami. — Odniosłem tylko wrażenie, że Kerensky wcale nie jest tak zadowolony z zadania, jak twierdzi.

— Ostatecznie, żadne pieniądze nie są warte życia — zauważył Chavasse.

— A ty, Paul? — Ferguson obrzucił go uważnym spojrzeniem. — Jak ty się czujesz?

— Sam wiesz najlepiej. Po co pytasz? Jade tam, dokąd posyła mnie Biuro. To tylko następne zadanie, może trochę bardziej ryzykowne niż inne. I tyle.

— I nie przeraża cię myśl, że masz tam jechać? — sondował dalej Ferguson.

— Jasne, że przeraża — uśmiechnął się Chavasse. — W przeciwnym razie nie podjąłbym się tego.

Ferguson skręcił z szosy w boczną drogę. Jechali nią jeszcze kilkanaście kilometrów. Najpierw teren był płaski, potem droga zaczęła się wspinać wśród łąk, aż wreszcie znaleźli się na szczycie niewielkiego wzniesienia i Chavasse ujrzał dwadzieścia, może trzydzieści namiotów, rozbitych w dolinie wzdłuż strumienia.

Widok był sielski. Tu i ówdzie wiły się ku górze dymy z ognisk, przy których przygotowywano strawę. Kilkanaście kobiet, stojąc po kolana w wodzie, prało w strumieniu bieliznę, zatknawszy za pasy końce długich wełnianych chałatów. Bosonogie dzieci bawiły się w chowanego, napełniając dolinkę wesołymi okrzykami.

Namioty to były typowe tybetańskie jurty. Zszyte ze sobą skóry jaków naciągnięte były na okrągły szkielet z giętkiej drągownicy, otoczony niewysokim wałem z kamieni.

Cały obóz miał w sobie delikatny, pełen prostoty urok. Chavasse uśmiechnął się, gdy chłopiec, który pierwszy zauważył ich przybycie, krzyknął do swych przyjaciół, że nadchodzą goście. Po chwili cała gromada biegła na przeciw, z wielkim podnieceniem wołając swoje matki stojące w strumieniu.

Kobiety rozprostowały się i patrzyły w ich kierunku osłaniając dłońmi oczy przed słońcem. W tej samej chwili, jakieś pięćdziesiąt metrów od nich, przegalopował przez wzgórze jeździec. Rozpraszając stado pasących się jaków, wjechał do obozu.

Miał na sobie chałat w szerokimi rękawami i serdak z owczej skóry, rozpięty na jego szerokim torsie aż do pasa, oraz wysokie, oliwkowozielone, juchtowe buty. Włosy, zaplecione w warkoczki po obu stronach głowy, przykryte były stożkowatym kapeluszem. W jego lewym uchu połyskiwał duży, srebrny kolczyk.

Przybysz ściągnął cugle, zeskoczył ze swego małego, tybetańskiego konika i ruszył ku nim. Wyglądał jak jakiś średniowieczny rycerz. Był wysoki i muskularny, a jego mocno opalona twarz wcale nie miała wschodnich rysów. Szczupłe kości policzkowe i wydatny nos nadawały mu arystokratyczny wygląd. Dzieci kłaniały mu się z szacunkiem.

— Joro — odezwał się Ferguson — to jest pan Chavasse.

— Cieszę się, że pan już jest. — Młody Tybetańczyk wyciągnął rękę na przywitanie.

Na agencie Joro wywarł niezwykle wrażenie. I to nie tylko doskonałą angielszczyzną. To było coś znacznie więcej. Ten młodzieniec mógłby z powodzeniem obracać się w najlepszym towarzystwie. Był inteligentny i opanowany. Urodzony przywódca. Nie wyglądał na człowieka, który unikając walki z wrogiem, wybrał bezpieczniejszą drogę emigracji. „Intrygująca postać”, pomyślał agent Biura.

Przeszli poza teren obozu i usiedli na trawie w pobliżu strumienia. Chavasse poczęstował

Tybetańczyka papierosem, a podając młodzieńcowi ogień, zapytał go wprost:

— Ferguson mówił mi, że chcesz wrócić do Tybetu, i że zaofiarowałeś mi wszechstronną pomoc. Dlaczego?



— Z dwóch powodów — odparł Joro. — Po pierwsze, wiadomo mi, że był pan jednym z tych, którzy dopomogli Dalaj Lamie w ucieczce. Po drugie, dlatego że chce pan teraz pomóc w ten sam sposób doktorowi Hoffnerowi.

— A dlaczego opuściłeś Tybet? Czy miałeś jakieś kłopoty z Chińczykami?

— Nie. — Joro potrząsnął głową przecząco. — Nie podejrzewali mnie o nic, jeżeli to pan ma na myśli. Nie, panie Chavasse. Moi rodacy nie boją się wroga, ale nie możemy walczyć z Chińczykami mieczami i muszkietami. Potrzebujemy nowoczesnych karabinów i broni automatycznej.

Przeniosłem przez przełęcz Pangong Tso złoto wszyte w serdak. Zamierzam kupić taką broń, a pan Ferguson obiecał mi w tym dopomóc.

— Zabierzcie ją ze sobą — wtrącił Ferguson. — Załatwiłem wszystko, co trzeba. To karabinki snajperskie, amunicja, kilka lekkich karabinów maszynowych i skrzynia granatów. To wszystko, co zdążyłem załatwić. Rozmawialiśmy właśnie z Kerenskim. Chce lecieć do Leh dziś po południu.

Czy jesteś gotów?

Młodzieniec kiwnął głową.

— Nie widzę powodów do zwłoki, jeśli tylko pan Chavasse się zgadza.

— O ile będzie odpowiednia pogoda, Kerensky spróbuje przedostać się do Rudok dzisiejszej nocy — dodał Chavasse — więc nie mamy zbyt wiele czasu. Chciałbym zapytać cię o kilka spraw.

Przede wszystkim, jak przedstawia się teraz sytuacja w Tybecie Zachodnim?

— Całkiem inaczej niż w reszcie kraju. Chińczycy zbudowali drogę, aby połączyć Gartok z Jar-kandem przez sporne terytorium Aksai Chin. Twierdzą, że płaskowyż jest ich pradawnym dziedzictwem, a Indie bezprawnie włączyły go do swego obszaru. Jest to najrzadziej zaludniony obszar Tybetu. Chińczycy utrzymują władzę tylko w miastach, a i to nie we wszystkich.

— A zatem rozumiem, że istnieją tam grupy zbrojnego oporu?

— Większość moich rodaków — uśmiechnął się lekko Joro — to pasterze, którzy nieustannie wędrują ze swoimi stadami w poszukiwaniu pastwisk. To dumni górale. Oni nigdy nie przywykną do chińskiej brutalności. Zresztą, należało się tego spodziewać.

— Myślałem, że jako wierni wyznawcy buddyzmu, Tybetańczycy są przeciwni odpowiadaniu gwałtem na gwałt — zauważył Ferguson.

— Tak było. Teraz jednak, kiedy czerwoni zabijają naszych mężczyzn i gwałcą nasze kobiety, przypomnieliśmy sobie, że zanim Budda przyniósł nam błogosławiony spokój, byliśmy wojownikami. Chińczycy sprawili, że odłożyliśmy święte prawdy wiary na bok.

— Tak — rzekł Chavasse do Fergusona. — Kiedy byłem na południu, bili się nawet buddyjscy mnisi.

— I jak się bili! — oświadczył Joro. — W okolicy Rudok znajdziemy wielu przyjaciół. Mnisi z klasztoru Yalung Gompa pomogą nam również.

— Opowiedz mi jeszcze o Hoffnerze — poprosił Chavasse. — Jak się czuł, kiedy go widziałeś po raz ostatni?

— Był bardzo chory. Właśnie dlatego go odwiedziłem. Powiedziałem mu, że wybieram się do Kaszmiru, i wtedy poprosił, abym wziął list.

— Wynika z tego, że nie pilnują go zbyt surowo?

— Nie. — Joro potrząsnął głową. — Pozwolono mu mieszkać w jego starym domu w Changu. To takie starodawne, otoczone murem miasto, w którym żyje nie więcej niż pięć tysięcy ludzi. Rezyduje tam komendant całego rejonu, pułkownik Li.

— Ale jednak Hoffner jest zamknięty w swym domu. Czy tak?

— Nie całkiem. Czasami wychodzi na spacer, ale nie wolno mu opuszczać miasta. Nie pilnują go specjalnie surowo, jeżeli to pan chce wiedzieć. A zresztą dokąd mógłby uciec stary, chory człowiek?

— To znaczy, że sprawa może nie być wcale tak trudna, na jaką z początku wyglądała — doszedł do wniosku Chavasse. — Problem polega tylko na tym, jak wywieźć profesora z Changu, by go dostarczyć na to lądowisko, które wypatrzyłeś w pobliżu Rudok. Jeżeli Kerensky jest takim dobrym pilotem, na jakiego wygląda, zadanie wykonamy raz-dwa.

— Mogą zaistnieć nieprzewidziane trudności — oświadczył Joro. — Problemem numer jeden jest gospodyni Hoffnera. Obawiam się, że współpracuje z Chińczykami. Na szczęście nie było jej w domu podczas mojej ostatniej wizyty. Nie dowierzam jej.

— Dlaczego?

— Dla wszystkich możliwych powodów. Przede wszystkim jest Chinką. A raczej Chinką była jej matka. Ojciec był Rosjaninem i to też nie wróży niczego dobrego. Nazywa się Katia Stranow. Podróżowała z ojcem z Sing Jang do Lhasy. W podróży zmarł.

— I wtedy zaopiekował się nią Hoffner?

— Tak. Taki już jest, że musi pomagać innym bez względu na koszty.

Chavasse myślał przez chwilę, marszcząc brwi.

— Z tego, co mówiłeś, wynika tylko jedno — powiedział w końcu. — Nie ufasz jej, ale nie masz żadnych konkretnych dowodów. Możemy równie dobrze przyjąć, że ta dziewczyna jest całkowicie nieszkodliwa.

— To prawda — odparł niechętnie Joro.

— Więc musimy dać jej szansę. Kiedy przedostaniemy się do klasztoru, pojedziesz do Changu na przespiegi, aby wybadać teren. Szczegóły uzgodnimy później.

Ferguson powstał. — Jeśli nie macie teraz nic więcej do omówienia, to wracajmy do Srinagar.

Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia przed waszym odlotem, a ty, Paul, powinienes trochę odpocząć.

— To najlepszy ze wszystkich twoich pomysłów — zgodził się Chavasse. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Jora. — A zatem, do zobaczenia.

Pozostawili Tybetańczyka siedzącego na trawie, obok strumienia, a sami przeszli przez obóz do auta. W drodze powrotnej Ferguson spytał Chavasse'a, co o nim sądzi.

— Jest dokładnie taki, jak mówiłeś. Nie mógłbym sobie życzyć lepszego towarzysza.

— Słuchając go, odniosłem wrażenie, że cała sprawa jest łatwiejsza, niż się z początku wydawało. Co prawda, może być problem z tą kobietą, ale sądzę, że jest raczej nieszkodliwa.

— Prawdopodobnie — zgodził się Chavasse i ziewnął.

Za każdą sprawą zdaje się zawsze kryć jakaś kobieta. Ale tym razem jest to kobieta, z którą naprawdę nie ma żartów. Zresztą czas pokaże. Chavasse usiadł wygodniej, nasunął kapelusz na czoło

i przymknął oczy.

#### 4. Obszar zamknięty

Przestało padać i srebrny promień księżyca oświetlił łóżko. Chavasse trwał w półśnie, półjawie, patrząc na sufit.

Po jakimś czasie spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Jeszcze chwilę leżał na plecach, spocony jak mysz, po czym odsunął kołdrę i wyskoczył z łóżka.

Szybko wytarł się ręcznikiem i przyodział. Zanim otworzył okno i wyszedł na taras włożył jeszcze gruby, wełniany sweter.

Płaskie dachy domów w Leh opadały ku Indusowi. Na tle nieba czerwieniły się wysokie ściany rozpadlin i wąwozów. Wokół panował spokój i tylko odległe ujadanie psa niosło się znad rzeki niczym głuchy dzwon nocy.

Chavasse zapalił papierosa, dłońmi osłaniając płomień przed podmuchami wiatru. Kiedy odrzucił spaloną zapałkę, chmury odsłoniły całkiem tarczę księżyca i jego ostre, białe światło w jednej chwili rozjaśniło całą okolicę. Nocne niebo było niewiarygodnie piękne. Gwiazdy wypełniały je aż po horyzont, gdzie już czekały na nie wzniesione wysoko ramiona górskich szczytów.

Wdychał głęboko powietrze, pachnące mokrą od deszczu ziemią, i zastanawiał się, dlaczego wszystko nie może być tak proste, jak ta cudowna chwila. Przecież to, co najcenniejsze, jest właściwie za darmo. Wystarczy przystanąć, tak jak tu, i patrzeć, a dostaje się tak wiele za jedną chwilę refleksji.

Lekki podmuch wiatru musnął go chłodnym dotykiem w policzki, przywołując mroczne przeżycia związane z bliskością granicy. To tylko pół godziny lotu poprzez mrok. Wiatr wydawał się wołać do niego, jęcząc złowroźnie wśród domostw. Chavasse odwrócił się i wszedł do środka.

Hotel spowijała cisza. Kiedy agent Biura schodził na dół, uderzyła go fala ciepłego, dusznego powietrza, dolatująca z niewielkiego holu, gdzie całkiem bezużytecznie wirował pod sufitem jakiś przedpotopowy wentylator.

Hinduski nocny portier spał sobie w najlepsze przy swoim pulpicie, oparłszy głowę na rękach.

Chavasse cicho minął kontuar i wszedł do baru.

Kerensky siedział przy stoliku obok okna, z serwetką zatkniętą pod brodą. Był jedynym klien-

tem, więc kelner siedział beczynnie, przypatrując się ze zdumieniem, jak z talerza Polaka znika ogromny pieczony kurczak.

Chavasse podszedł do baru i nalał sobie dużą szkocką z niewielkim dodatkiem zimnej wody.

Kiedy podszedł do stolika, przy którym pożywiał się Kerensky, Polak spojrział na niego z uśmiechem.

— O, jest pan. Właśnie zamierzałem pana obudzić. Zje pan coś?

— Nie, dziękuję. — Chavasse potrząsnął głową.

— Jak tam samopoczucie?

— Doskonale. — Chavasse stanął przy oknie i popatrzył na rozgwieżdżone niebo. — To chyba idealna noc na taką wycieczkę.

— Nie mogła być lepsza — oświadczył ze śmiechem w głosie Kerensky. — W świetle księżyca przelecimy nad przełęczą bez kłopotów, a to przecież najtrudniejszy odcinek. Dziś to będzie ciastko z kremem.

— Mam nadzieję, że ma pan rację — odparł Chavasse.

— Zawsze mam rację. W czasie wojny brałem udział w ponad stu lotach bojowych. Kiedykolwiek sprawy miały przybrać kiepski obrót, czułem pismo nosem. Mam w sobie po kądzieli odrobinę cygańskiej krwi, więc potrafię przewidywać przyszłość. Zapewniam pana, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Przechylił się przez stół, by napełnić pustą szklankę rozmówcy.

— Wypij pan i pójdziemy do maszyny. Pół godziny temu wysłałem na pas startowy Jora w towarzystwie miejscowego znajomka.

Chavasse spojrział na dno szklanki i zmarszczył lekko brwi. Gdzieś w głębokiej części jego jęstwa odzywał się głos instynktu, który posiadają potomkowie starych narodów, coś, co odziedziczył być może po swych bretońskich przodkach. Ten głos mówił mu, że na przekór prognozom Kerensky'ego, przyszłość nie zapowiada się wcale tak dobrze.

Przyjmując do wiadomości te złe przeczucia, uświadomił sobie, że ogarnia go dziwny spokój

wobec nieuchronności tego, co ma się zdarzyć. Podniósł szklanę i uśmiechając się, opróżnił ją jednym haustem.

— Jestem gotów — oznajmił.

Pas startowy leżał z pół mili poza osiedlem, na płaskim wzniesieniu nad rzeką. Na pierwszy rzut oka widać było, że zbudowany był na potrzeby lotnictwa wojskowego i że obecnie nie jest używany.

Stał tam zaledwie jeden hangar, zbudowany ze zbrojonych, betonowych płyt, na których pozostały ślady szaro-zielonej maskującej farby. Dach najwyraźniej był nieszczelny, jako że kiedy weszli do środka z sufitu kapą jeszcze deszczówka.

Pośrodku hangaru lśnił srebrno-czerwony samolot, oświetlony przez dwa reflektory podwieszane na żelaznych krokwiach. Jagbar, mechanik Kerensky'ego, siedział przy tablicy rozdzielczej maszyny, z wyrazem intensywnego skupienia na twarzy. Nadśluchiwał brzmienia silnika. Joro zajmował miejsce obok niego.

W końcu obydwaj zeskoczyli na dół.

— Jak tam? — zapytał Kerensky.

— W porządku, sahibie.

Hindus uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poczerwiałe pieńki zębów.

— Paliwo?

— Zatankowałem do pełna bak główny i zapasowy. Kerensky pokiwał z uznaniem głową i poklepał skrzydło samolotu.

— Spraw się dobrze, mój aniele — powiedział po polsku, a potem odwrócił się do Chavasse'a.

— Jestem gotów.

Chavasse spojrział na Tybetańczyka i uśmiechnął się.

— Muszę się jeszcze przebrać w to, co dla mnie przygotowałeś.

Joro przytaknął i wyciągnął z samolotu zawiniątko z odzieżą. Był w nim brązowy wełniany chałat, serdak z owczej skóry, kapelusz i para tybetańskich juchtowych butów.

Chavasse szybko zmienił ubranie i odwracając się do Kerensky'ego, spytał:

— Czyż nie wyglądam na mieszkańca Tybetu?

Polak przytaknął ruchem głowy.

— Z daleka jest pan nie do odróżnienia. Musi pan jednak pamiętać, aby nie pokazywać twarzy.

Jest równie francuska jak paczka gauloisów albo plac Pigalle w sobotnią noc. Od razu widać, że nic jej nie łączy z tybetańskim stepem.

— Będę o tym pamiętał — uśmiechnął się Chavasse.

Wsiadł wraz z Jorem do samolotu, a po chwili Kerensky zajął miejsce pilota. Wyjął mapę i rozłożywszy ją, wręczył Tybetańczykowi.

— Jesteś pewien co do tych patroli granicznych?

— Tak. Mają obowiązek patrolować przełęcz Pangong Tso codziennie, ale ostatnio stało się to zbyt niebezpieczne. To tylko dziesięciu żołnierzy i sierżant. Trzymają się jak najbliżej Rudok.

Polak wychylił się z kabiny do swego mechanika.

— Czekaj na mnie za jakieś dwie godziny, Jagbar!

Mechanik kiwnął głową i odepchnął schodki. Kerensky wolno wyprowadził maszynę z hangaru i wykręcił pod wiatr. Chwilę później wydawało się, że koniec pasa startowego ruszył im na spotkanie. Pilot pociągnął ku sobie drążek sterowy i samolot uniósł się nad rozpadliną. Zobaczyli skalistą ścianę po drugiej stronie.

Góry rosły przed nimi gigantyczne, budzące grozę. Wznosili się coraz wyżej, by wreszcie przelecieć łagodnym łukiem pomiędzy dwoma bliźniaczymi szczytami, a następnie obrali kurs ku granicy.

Strome ściany gór znajdowały się tak niebezpiecznie blisko, że Chavasse odwrócił wzrok i zastanawiał się, czym by zająć uwagę, aby nie patrzeć na nie. Joro siedział obok, z pistoletem maszynowym na kolanach, uważnie załadowując magazynek.

Chavasse wyciągnął wobec tego własną broń. Był to mauzer z tłumikiem, narzędzie do zabijania, używane z upodobaniem przez agentów SS w czasie wojny. Sprawdził mechanizm ładowania i regulację spustu. Prawdę mówiąc, nie używał tej broni zbyt często, nawet będąc w prawdziwych opałach. Wsunął mauzera w skórzany futerał na biodrze i sięgnął po drugi pistolet

maszyno-wy.

Pół godziny później sprawiali wrażenie całkowicie zagubionych wśród księżycowego krajobrazu. Ze wszystkich stron tłoczyły się ku nim pokryte grubym śniegiem szczyty gór. Kerensky pilotował samolot z genialną zręcznością, mknąc do przodu w nie kończącym się labiryncie. Pomiędzy szczytami, jak drogocenne klejnoty wpięte w czarny aksamit, połyskiwały gwiazdy. Chavasse nie miał pojęcia, że mogą one świecić tak jasno.

Co pewien czas zapadali się nagle w próżnię. W pewnym momencie, kiedy przelatywali pomiędzy dwoma szczytami, Chavasse mógłby przysiąc, że jedno ze skrzydeł samolotu dotknęło skalistej ściany. Przelecieli jednak bez szwanku, a Polak nawet nie mrugnął i prowadził dalej samolot pewną dłońią.

Nagle, prześlizgnąwszy się nad grzbietem opasłej góry, jakieś sto metrów niżej zobaczyli lśniące w świetle księżyca jezioro.

— Pangong Tso! — Joro usiłował przekrzyczeć ryk silnika.

Na ich spotkanie podniosła się rozległa przełęcz. Pilot pociągnął wolno drążek ku sobie i samolot poszybował wyżej, ale wydawało się, że pokryta lodem skalista ziemia wzniosła się także. Chavasse wstrzymał oddech oczekując katastrofy, jednak nic takiego nie nastąpiło. Z zapasem jakichś piętnastu metrów przelecieli nad pokrytą śniegiem przełęczą, omijając z jednej strony lodowiec, a z drugiej potężną skalistą ścianę.

Pod nimi, daleko jak okiem sięgnąć, rozciągał się zimny, ciemny płaskowyż. Kerensky odwrócił się z uśmiechem, widocznym w świetle emanującym z tablicy rozdzielczej.

— Jeżeli chcecie wiedzieć, jesteśmy już nad Tybetem! — wrzasnął. — Teraz zmienię nieco kurs, aby ominąć Rudok. Nie warto zbytnio pchać się na afisz!

Samolot skręcił ostro na wschód, a potem wznosił się wyżej. Widok był wspaniały. Pofałdowany step sięgał aż po horyzont. Tu i ówdzie kryły się w nim ciemne doliny i rozpadliska, do których nie docierało światło księżyca, łagodnie pieszczące wszystkie wyniosłości terenu.

Po chwili pojawiło się jezioro, potem drugie. Joro poklepał pilota po ramieniu. Polak kiwnął głową i samolot począł się zniżać.

Płaski, piaszczysty teren na wschodnim brzegu jeziora był doskonale widoczny w jasnym świetle księżyca. Kerensky zatoczył koło, by łagodnie podejść do lądowania. Nagle szarpnął gwałtownie



drażek i samolot ostro wyrwał w górę.

— Co jest?! — krzyknął Chavasse.

— Chyba widziałem światło na wzgórzu nad jeziorem! Jeszcze raz zakręcę, a wy obserwujcie teren. — Samolot wykonał pełne okrążenie, ale nigdzie nie było widać nic podejrzanego.

— I co o tym myślicie?

Chavasse spojrzał pytającym wzrokiem na Jora, ale Tybetańczyk wzruszył ramionami.

— Jeżeli było jakieś światło, to mogło to być jedynie ognisko pasterzy. Na tym terenie Chińczycy nie odważyliby się spędzać nocy pod gołym niebem.

— No to w porządku. — Chavasse klepnął Polaka po ramieniu. — Ląduj.

Kerensky kiwnął głową. Raz jeszcze okrążył jezioro i kierując samolot pod wiatr, elegancko wylądował na brzegu. Chavasse nie tracił ani chwili. Kiedy samolot jeszcze kołował, on już otworzył drzwiczki, wyskoczył na ziemię i za chwilę odbierał od Jora skrzynie z bronią i amunicją.

Wzniesiony wirującym śmigłem pęd powietrza owinał ich tumanem drobnego piasku. Mimo to wszystkie skrzynie w kilka chwil znalazły się na ziemi, a Joro stanął obok Chavasse'a. Kerensky wyciągnął rękę, aby zamknąć drzwiczki kabiny.

— Za tydzień od dziś. W tym samym miejscu, o tej samej porze — wrzasnął, przekrzykując ryk silnika. — I niech pan przybędzie punktualnie. Cholernie mnie drażni czekanie.

Chavasse i Joro szybko usunęli skrzynie z drogi i patrzyli, jak Kerensky kołuje na przeciwległą stronę pola i wykręca pod wiatr. Po chwili samolot przelatywał już nad jeziorem, nabierając wysokości. Potem pilot skierował maszynę na północny zachód i samolot zniknął w ciemności.

Chavasse odwrócił się do Jora, czując wciąż w głowie huk silnika.

— Może ukryjmy gdzieś te skrzynie, zanim twoi przyjaciele z Yalung Gompa zgłoszą się po nie?

Poszedł w kierunku wąskiego żlebu, przecinającego wzgórze czterdzieści metrów dalej, zdziwiony, że huk silnika tak długo utrzymuje się w jego uszach. Doszedł do wniosku, że ten żleb będzie właściwą kryjówką.

Odwrócił się, aby zawołać do Jora. W tym samym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki, na wierzchołku wzgórza pojawił się dziup.

Natychmiast, w pierwszej, mrozącej krew w żyłach chwili strachu, dostrzegł wysokie czapki żołnierzy i długi ryj karabinu maszynowego zamontowanego na platformie. W sekundę potem biegł w stronę żlebu, sięgając jednocześnie po mauzera. — Joro! Uważaj! — krzyknął.

Ciężkie pociski z karabinu maszynowego wznosiły już tumany piasku wokół Tybetańczyka, a błysk serii rozdarł ciemność.

Joro odskoczył na bok i miotał się rozpaczliwie, aby uniknąć kul. Chavasse przyklęknął na jedno kolano i oddał kilka strzałów, ściągając ogień na siebie.

Joro poderwał się na nogi i zniknął wśród głazów, piętujących się na brzegu jeziora. Karabin wycelowany był teraz w Chavasse'a, który wycofał się do żlebu. Przywarł płasko do jego dna, podczas gdy kule waliły o skały tuż za nim.

Odłamek kamienia ugodził go w policzek, a kiedy powstał, aby spróbować wycofać się pod osłoną ciemności, jeden z pocisków zranił go w lewe ramię.

Chavasse upadł znowu na ziemię i czekał, co będzie dalej. Wreszcie wstrzymano ogień i wokół zapanowała cisza, jeszcze trudniejsza do zniesienia. Ostrożnie powstał na nogi, kiedy nagle rozległ się huk i ostre białe światło rakiety oświetliło cały żleb.

Patrzył bez ruchu na opadającą racę. Nie było sensu dokądkolwiek biec. Wkrótce kamienie zachręściły i na krawędzi żlebu ukazało się dwóch chińskich żołnierzy z gotowymi do strzału automatami. Kiedy podniósł mauzera, aby wystrzelić, pojawił się pomiędzy nimi trzeci człowiek.

Lekko uśmiechnięty stał tak blisko, że Chavasse widział nie tylko piórko zdobiące tyrolski kapelusz ale nawet każdy włoszek futrzanego kołnierza jego myśliwskiej kurtki.

— Niech pan nie będzie głupcem — odezwał się po angielsku. — To nie ma sensu!

Chavasse patrzył na niego zdziwiony, a potem, pomimo bólu w ramieniu, zaśmiał się głośno.

Noc była pełna niespodzianek.

— To znaczy, że macie jeszcze coś w odwodzie — powiedział i odrzuciwszy mauzera, stał spokojnie, czekając, aż do niego podejda.

5. Upadek księcia ciemności

Stepowy wiatr hulał po niewielkiej kotlinie, chwytając Chavasse'a w zimne szpony. Drżał na całym ciele. Posługując się jedną, zdrową ręką, naciągnął na głowę serdak z owczej skóry.

Ostre, zimne powietrze znieczuliło ból w krwawiącym ramieniu, Chavasse czuł jednak rozsadzającą czaszkę ucisk w tyle głowy i lekkie mdłości. Prawdopodobnie były to dolegliwości związane z niedostateczną aklimatyzacją.

Siedział, oparty plecami o koło dzipa. Kilka stóp dalej, przy wejściu do niewielkiego namiotu, wiatr igrał z płomieniem spirytusowej maszynki. Ogrzewało się przy niej dwóch chińskich żołnierzy. Jeden z nich, położywszy sobie na kolanach automat, palił papierosa, podczas gdy drugi podgrzewał kawę w aluminiowym kociołku.

Chavasse zastanawiał się, co teraz robi Joro. Przynajmniej temu chłopcu udało się ujść cało, więc można powiedzieć, że zasadzka nie całkiem się powiodła. Jednakże trudno było przypuszczać, że bezbronny, samotny Tybetańczyk będzie mógł mu jakoś pomóc. Chyba, że zdoła skontaktować się ze swoimi przyjaciółmi. To by zmieniło postać rzeczy.

Płachta namiotu uchyliła się i wyszedł z niego człowiek w tyrolskim kapeluszu. Trzymał w ręku przenośną apteczkę pierwszej pomocy.

Przykucnął obok jeńca, uśmiechając się sympatycznie.

— Jak pan się czuje? Chavasse wzruszył ramionami.

— Myślę, że wyżyję. Jeżeli o to panu chodzi. Mężczyzna wyciągnął ku niemu paczkę papierosów.

— Niech się pan poczęstuje. Poczujecie pan ulgę.

Miał około trzydziestu pięciu lat: wysoki, dobrze zbudowany Płomień zapalki wyodrębnił z ciemności silną, wyrazistą twarz ze zmysłowymi ustami.

Chavasse zaciągnął się i zakaszał, kiedy dym podrażnił mu gardło.

— Rosyjskie! — wykrzyknął, podnosząc w górę papierosa. Sprawy zaczęły się wyjaśniać.

— Naturalnie — uśmiechnął się tamten. — Andriej Siergiejewicz Kurbski, do usług.

— Mam nadzieję, iż nie obrazi się pan, jeżeli nie zrewanżuję się podobnie grzecznym gestem?

— To całkiem zrozumiałe. — Kurbski roześmiał się dobrodusznie. — Można powiedzieć, że nie

— miał pan do nas szczęścia.

— Skoro już o tym mówimy — zagadnął Chavasse. — To co właściwie robicie w tej okolicy?

Przecież to niezbyt bezpieczny obszar.

— Byłem w drodze do Changu. Silnik nam nawalił i właśnie usiłowaliśmy znaleźć przyczynę.

Ponieważ zrobiło się ciemno, postanowiłem, że rozbijemy obóz. Nagle całkiem niespodziewanie wprasza się pan w gościnę. Byłem jeszcze bardziej zaskoczony, słysząc jak krzyczy pan do swego towarzysza po angielsku.

— Chyba się starzeję — westchnął Chavasse. — Więc to wasze światła widzieliśmy.

— Przerwaliście mi kolację — potwierdził Kurbski. — Naturalnie, jak tylko zauważyliśmy was, zgasilem płomień maszyny. Zamierzaliście lądować, więc nie chcieliśmy was onieśmielać.

— A my myśleliśmy, że to ognisko pasterzy — oznajmił Chavasse z goryczą w głosie.

— Na wojnie trzeba mieć szczęście... dużo szczęścia. — Rosjanin otworzył apteczkę. — Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, rzucę teraz okiem na pańską rękę.

—

To tylko draśnięcie — stwierdził Chavasse. — Pocisk jedynie musnął moje ramię.

Kurbski przyjrzał się ranie, a potem wprawnie nałożył opatrunek i zabandażował ramię elastyczną opaską.

— Widzę, że zna się pan na rzeczy — rzekł Chavasse.

— Byłem korespondentem wojennym w Korei — uśmiechnął się Rosjanin. — Przeszedłem twardą szkołę.

— A co pan robi w Tybecie? Czy chce pan się osobiście przekonać, jak bardzo wdzięczni są Chińczykom mieszkańcy tego kraju za wyzwolenie ich od nich samych?

— Coś w tym rodzaju. — Kurbski wzruszył ramionami. — Mam status stałego korespondenta.

Piszę dla „Prawdy”, ale moje artykuły ukazują się we wszystkich czasopismach i gazetach Związku Radzieckiego.

— Wcale się temu nie dziwię.

— Ta przygoda bardzo ożywi moją relację. Ludzie chętnie czytają takie historyjki — kontynuował Rosjanin. — Tajemniczy Anglik, taki jak pan, ląduje w środku nocy z bronią w ręku w

Tybecie, przebrany za miejscowego górala. Szkoda, że nie jest pan Amerykaninem, to zabrzmiałoby jeszcze bardziej sensacyjnie.

Płomień maszynki zadrżał na wietrze. W jego migotliwym świetle widać było figlarne błyski w oczach dziennikarza. Mimowolny uśmiezek pojawił się w kącikach ust Chavasse'a. Starał się pokryć go ziewnięciem. Trudno było nie polubić takiego faceta.

— Co będzie ze mną? — zapytał.

— Filiżanka kawy, lekka kolacja i zdrowy sen, jeżeli zdoła pan zasnąć.

— A jutro?

— No cóż — westchnął Kurbski. — Jutro pojedziemy do Changu, aby odwiedzić pułkownika Li, dowódcę tego okręgu. — Pochylił się i zniżając głos, dodał poważnym tonem: — Gdybym był na pańskim miejscu, powiedziałbym mu od razu wszystko, co będzie chciał wiedzieć, bez niepotrzebnego, heroicznego zadęcia. Powiadają, że to twardy człowiek.

Zapanowała chwila milczenia, a potem Kurbski klepnął się otwartą dłońią po udzie.

— Ale teraz zjedzmy kolację.

Skinął ręką i jeden z żołnierzy przyniósł kawę oraz paczkę biszkoptów.

— Tylko proszę mi nie mówić, że to armia Chińskiej Republiki Ludowej podejmuje mnie tak gościnnie.

Kurbski potrząsnął przecząco głową.

— To moje prywatne zapasy. Daję słowo. Doszedłem kiedyś do wniosku, że odrobina luksusu bardzo ułatwia przystosowanie się do trudnych warunków w obcym, dzikim kraju.

Chavasse przełknął łyk kawy. Była na tyle dobra, że nie mógł powstrzymać się od wyrażenia podziwu.

— Wykorzystuje pan doświadczenia budowniczych imperium to tak, jak przebieranie się w

smoking do kolacji podczas safari w czarnej Afryce.

— Dzięki ci, panie Boże, żeś stworzył Anglików — odparł Kurbski z pewnym namaszczeniem.

— Dali przynajmniej światu poczucie godności i szacunku.

— W dzisiejszych czasach to raczej wątpliwe zalety — oświadczył Chavasse i obaj wybuchnęli śmiechem.

— Co słyhać w Londynie? — zapytał Kurbski.

Chavasse zawahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. Właściwie co za różnica, jak odpowie na to pytanie.

— Kiedy opuszczałem Londyn, wiała przeraźliwie mokra bryza od rzeki, co wróży raczej paskudną zimę. Na drzewach w Regent Park nie pozostał już ani jeden liść, a pięciu zwolenników rozbrojenia nuklearnego przykuło się kajdankami do barierki przed domem numer 10 na Downing Street \*.( \* Siedziba premiera Wielkiej Brytanii.)

— Nie ma jak Londyn — westchnął Kurbski. — Byłem tam w zeszłym roku. Widziałem Johna Gielguda w „Wiśniowym sadzie”. Niezapomniany spektakl. Oczywiście, ze względu na to, że Anglicy grali Czechowa. Potem byłem na kolacji w tej słynnej restauracji u Helenę Cordet.

— Jak na Rosjanina, mieszkającego stale w swym kraju, odwiedził pan najwłaściwsze miejsca w Londynie — oświadczył Chavasse.

Kurbski wzruszył ramionami.

— Należy to do moich obowiązków. Muszę poznawać jak najwięcej środowisk i próbować zrozumieć, co myślą przedstawiciele poszczególnych warstw społeczeństwa. Jakże inaczej moglibyśmy was zrozumieć?

— Podoba mi się pański sentyment do mego kraju — powiedział Chavasse — ale muszę przyznać, że rzadko spotykałem się z podobnym nastawieniem u pana kolegów.

— Najwidoczniej obracał się pan w niewłaściwych kręgach — dyplomatycznie odpowiedział Kurbski.

Jeden z żołnierzy przyniósł dzbanek ze świeżo zaparzoną kawą. Kiedy wrócił do ognia, Chavasse zaryzykował pytanie:

— Jedno mnie dziwi. Myślałem, że stosunki pomiędzy Moskwą a Pekinem są raczej napięte.

Jak to się dzieje, że Chińczycy pozwalają panu swobodnie podróżować po terenie ich najbardziej strzeżonej prowincji?

— Od czasu do czasu powstają między nami drobne nieporozumienia światopoglądowe, nic więcej. To się zdarza w najlepszej rodzinie.

Chavasse potrząsnął głową.

— Niech pan nie udaje naiwnego. Wy, Rosjanie, trąbicie wokół o niewyrobieńczeniu politycznym

Stanów Zjednoczonych, a tymczasem tamci mają przynajmniej tyle politycznego zmysłu, że potrafią uświadomić reszcie świata, kto naprawdę zagraża pokojowi. Chiny natomiast w tym samym

stopniu są problemem dla was, co i dla nas. Rozumiał to nawet Chruszczow.

— Polityka i religia to sprawy, o które sprzeczzają się i najlepsi przyjaciele — odparł Kurbski — ale myślę, że już najwyższy czas spać, kolego.

Pomimo ciepłego śpiwora, który pożyczył mu Kurbski, Chavasse zmarzył na kość. Głowę rozszalał mu przykry ból i znowu czuł nudności.

Patrzył na zewnątrz przez płachtę zasłaniającą wyjście z namiotu. Usiłował skoncentrować uwagę na płomieniu spirytusowego piecyka, aby usnąć. Jeden z żołnierzy, opatulwszy się w owczą

bundę, spał w najlepsze obok piecyka, podczas gdy drugi, pełniąc wartę, chodził tam i z powrotem, stukając obcasami po zamarznętej ziemi.

Chavasse myślał o Kurbskim. Przypominał sobie jego słowa i ten uśmiech nieustannie obecny w szarych oczach Rosjanina. Naprawdę sympatyczny facet. W innych warunkach mogliby zostać przyjaciółmi.

Zasnął wreszcie, ale w niecałą godzinę później obudził się, szcękając zębami, zlany zimnym potem. Obok niego klęczał Kurbski z kubkiem w ręce.

Chavasse usiłował usiąść, ale Rosjanin lekko popchnął go z powrotem.

— Nie ma powodu do niepokoju. Cierpi pan na chorobę wysokościową. Proszę to połknąć. Po-  
może panu.

Chavasse wziął pigułkę trzęsącymi się palcami i popił ją zimną kawą z kubka, który Kurbski przytrzymał przy jego ustach.

Ponownie schował ręce w śpiworze i skrzyżował je, aby powstrzymać dreszcze. Spróbował się uśmiechnąć.

— Trzęsę się tak, jakbym miał malarię.

— Rankiem poczuje się pan o wiele lepiej — pocieszał go dziennikarz.

Wyszedł na zewnątrz, pozostawiając Chavasse'a zapatrzonego w ciemność. Anglik z wolna do-  
chodził do wniosku, że człowiek ciągle uczy się czegoś nowego. Ostatnim Rosjaninem, z jakim  
miał tak bliski kontakt, był agent osławionej organizacji Smiersz, która dopuszczała się krwawych  
zbrodni, dopóki nie rozwiązał jej Chruszczow.

Tamten człowiek tak bardzo różnił się od Kurbskiego, jakby nie byli synami tego samego na-  
rodu.

Trudno było zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. W ogóle trudno cokolwiek zrozumieć. Chavasse  
zamknął oczy. Działanie pigułki było zdumiewające. Ból głowy znikł, jak ręką odjął, a całe ciało  
powoli ogarnęło przyjemne ciepło. Chavasse naciągnął na głowę kaptur śpiwora i prawie  
natychmiast zapadł w sen.

Poranne niebo było niewiarygodnie niebieskie, ale wiatr przerażająco zimny. Chavasse stał obok  
dżipa i przyglądał się dwu żołnierzom zwijającym obóz. Czuł się o dziesięć lat starszy i zupełnie  
opuściła go jakakolwiek chęć działania.

Kurbski także jakby się zmienił. W jego oczach nie było już iskierek humoru, a na twarzy ry-  
sowało się znużenie. Prawdopodobnie również źle spał tej nocy. Kiedy byli gotowi do odjazdu,  
zwrócił się do Chavasse'a i nieledwie przeproszającym gestem zaprosił go do łazika. Agent Biura  
wdrapał się na tylne siedzenie i zajął wolne miejsce obok podstawy karabinu maszynowego.

Przed nimi rozciągał się pofałdowany i poprzecinany skalistymi grzebieniami step. Koła pojazdu  
rozgniatyły z trzaskiem zmrożone mroźne, rzadkie kępy złotych traw.

Po trzydziestu minutach wyjechali na autostradę zbudowaną przez Chińczyków jeszcze w 1957



roku w celu łatwego przetrzucania wojska z Sing Lang do Yarkand. Ta inwestycja dopomogła im następnie w stłumieniu powstania w Kambas.

— Trzeba przyznać, że to godne podziwu osiągnięcie. Nie sądzi pan? — zagadnął Kurbski, spoglądając na gładką nawierzchnię księżycowo pustej autostrady.

— To zależy od punktu widzenia — odparł Chavasse. — Mnie raczej interesuje, ile tysięcy Tybetańczyków straciło życie przy tej budowie.

Przez twarz Kurbskiego przesunął się cień. Rosjanin warknął po chińsku jakiś rozkaz i łazik ruszył szybciej w step, pozostawiając widmową autostradę za sobą.

Wyglądało na to, że opinia jeńca zniechęciła go do dalszej rozmowy. Wobec tego Chavasse rozparł się wygodnie i z zainteresowaniem obserwował krajobraz. Z jednej strony wznosił się ku błękitnemu niebu płaskowyż Aksai Chin, przed nimi zaś falował bezkresny step.

Po pewnym czasie zjechali nieco niżej na rozległą i płaską pustynię. Żwir i piach tworzyły twarde, mocno zbite podłoże i kierowca ostro nacisnął pedał gazu.

Dzip wystrzelił do przodu i kiedy zimny pęd powietrza uderzył Chavasse'a w twarz, Anglik poczuł powracającą chęć życia. Najwyraźniej przychodził do siebie. Wkrótce dotarli do krańca pustyni, kierowca zwolnił i pojazd zaczął wspinać się na niewielkie wzniesienie. Gdy się już na nim znaleźli, Chavasse dostrzegł klasztor w rozciągającej się przed nimi dolinie.

Ledwie potrafił ukryć zaskoczenie. Samochód zjeżdżał w dolinę, a w nim podniecenie mieszało się z obudzoną na nowo nadzieją. Zwrócił się do Kurbskiego i jakby mimochodem zapytał:

— Czy zatrzymamy się w klasztorze?

Rosjanin spokojnie skinął głową.

— Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy sobie na to pozwolić. Opracowuję właśnie serię artykułów o buddyzmie, a to jest jeden z niewielu jeszcze czynnych klasztorów w tej części Tybetu. Kilka godzin postoju nie robi nam żadnej różnicy.

Przez jedną niebezpieczną chwilę Chavasse miał na końcu języka słowa, które mogły go zdradzić. Przecież to mogło być tylko jedno miejsce: klasztor, do którego zmierzali z Jorem — Yalung Gomba, główny ośrodek oporu przeciwko chińskim okupantom. Było to zatem ostatnie miejsce na ziemi, które powinien odwiedzić Rosjanin z dwójką chińskich żołnierzy. Tym razem czarna ręka

przeznaczenia wskazała na Kurbskiego i od tego wyroku nie było już odwołania. Chavasse, czując coś w rodzaju żalu, siedział spokojnie i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Yalung Gompa to było kilka pomalowanych ochrą budynków o płaskich dachach, które wbudowano w jedno ze zboczy, otaczających dolinę. Całość otoczona była wysokim murem, a podwójne ciężkie wrota, rozwarte szeroko, zapraszały do środka na rozległy dziedziniec.

Pod murem pasły się jaki i małe tybetańskie koniki. Wokół strumienia zaś rozsiadły się pasterskie jurty z szarej skóry.

Było to miejsce przepelnione spokojem. Unosił się nad nim dym palonych ognisk. Wiatr przyniósł im zapach warzonej nad ogniskiem stawy, co w jakiś niezwykły sposób obudziło w Anglika wspomnienia obozowisk z jego młodzieńczych lat.

Przed bramą zgromadziła się grupa około sześćdziesięciu ludzi, zwróconych twarzami w stronę dziedzińca. Nagle miejsce to wypełnił potężny, głęboki dźwięk odbijający się echem od ścian doliny.

— Niech pan spojrzy! — wykrzyknął podekscytowany Rosjanin. — Tam, na najwyższym dachu.

Mnich dmie w radong. Dźwięk tego instrumentu niesie się wiele, wiele mil.

Tłum przy wrotach zwrócił się ku nim. Byli to głównie pasterze. Twarze stwardniałe od słońca i wiatru. Owczę serdaki i krótkie miecze zatknięte za pas. Spoglądali z otwartą wrogością. Chińczycy natychmiast zareagowali. Jeden z żołnierzy powstał, opuścił nieco lufę karabinu maszynowego i szczerknął odbezpieczonym zamkiem. Dżip zwolnił, kierowca zmienił bieg i tłum, rozstąpiwszy się, przepuścił ich do wewnątrz.

To, co zobaczył Chavasse na dziedzińcu klasztoru, spowodowało, iż zapomniał przez chwilę o swej sytuacji.

Grupa lamaickich kapłanów we wspaniałych, tradycyjnych szatach odprawiała właśnie pośrodku dziedzińca liturgiczną ceremonię. Był to niezwykły, groźnie wyglądający taniec. Mnisi w swoich jedwabnych niebieskich, czerwonych i zielonych togach oraz wielkich maskach wyobrażających twarze demonów, wirowali nieustająco w jakichś śmiertelnych zmaganiach, wznosząc ponad głowami wielkie miecze.

— Mamy szczęście! — wykrzyknął Kurbski. — Słyszałem o tej ceremonii. Niewielu podróżników miało okazję ją podziwiać. To „Upadek księcia ciemności”.

Otworzył torbę i wyjąwszy z niej aparat fotograficzny, począł tak szybko, jak to było możliwe, fotografować mnichów. Dla Chavasse'a było coś przerażającego i fascynującego zarazem w fakcie, że oto siedzi tu i biernie czeka na to, co musi się zdarzyć. Nagle poczuł w głowie pustkę i po chwili znowu ogarnęły go lekkie mdłości.

Demony wirowały coraz szybciej, wyskakując co chwila wysoko w górę. Tradycyjne fartuchy, z wymalowanymi na nich ludzkimi kośćmi, powiewały przy każdym takim skoku. Muzyka z muszli i bębnów stawała się coraz bardziej przerażająca; Chavasse spostrzegł, że żołnierz przy karabinie, zapominając o niebezpieczeństwie, pochylił się do przodu, otwierając szeroko usta ze zdziwienia.

Potem uświadomił sobie, że demony stopniowo otaczają pojazd, przysuwają się coraz bliżej i bliżej, z każdą chwilą zacieśniając krąg, a tłum, który do tej pory czekał przed wrotami, wbiega na dziedziniec.

Tymczasem Kurbski i jego ludzie niczego nie zauważyli. W pewnej chwili Rosjanin zaklął i przerwał na moment fotografowanie, aby zmienić film. Po chwili znowu robił zdjęcia tak szybko, jak tylko to możliwe.

Uwagę Chavasse'a zwrócił jeden z mężczyzn występujący w roli pierwszego tancerza. Miał na sobie szkarłatną togę i maskę tego samego koloru z białym rysunkiem, przyozdobioną czarnym końskim ogonem.

Miecz w jego ręku wirował jak żywy, rzucając wokół szybkie błyski. Nagle tańczący znalazł się tuż obok dzipa. Jego prawa ręka, mknąc błyskawicznym ruchem od lewego ramienia, zadała jeden straszliwy cios. Ciało żołnierza, który stał przy karabinie maszynowym, osunęło się tuż obok Chavasse'a z na wpół odciętą od tułowia głową i upadło na piasek dziedzińca.

Wydawało się, że cały świat zastygł w bezruchu. Ale trwało to tylko ułamek sekundy. Zaraz potem tłum ryknął i ruszył na dzipa. Szkarłatny demon zdjął maskę i Chavasse zapomniał na chwilę o wszystkim. Patrzył w zimną i bezlitosną twarz zabójcy. To był Joro.

Drugi żołnierz krzyknął nieludzko, kiedy dziesiątki rąk wyciągały go z auta, i uczeplił się kurczo-wo kierownicy. Kurbski stał nieruchomo, z twarzą skamieniałą ze strachu, ciągle jeszcze wznosząc nad sobą aparat. Zdążył rzucić swemu jeńcowi zaledwie jedno śmiertelnie przerażone spojrzenie, zanim ręce tłumowi także i jego wyciągnęły z auta.

Chavasse widział jeszcze przez moment skrwawioną twarz dziennikarza. W chwilę później

Rosjanin zniknął pod kłębiącymi się ciałami, jakby zalały go rozszalałe fale oceanu.

Anglik uświadomił sobie nagle, że wychodzi z dżipa w ten tłum, i że z otwartymi w bezgłośnym krzyku ustami próbuje utorować sobie w żywym ludzkim murze drogę do swego towarzysza.

Spostrzegł zwrócone ku sobie skośnookie twarze: zaślepione wściekłością oczy, obnażone, bezzębne dziąsła. Kiedy dziesiątki rąk zaczęły szarpać jego ubranie, uderzył na oślep w najbliższe usta.

Zaraz potem poczuł w głowie piekący ból i pograżył się w ciemność.

## 6. Moskwanika

Powoli otworzył oczy. Przez chwilę czuł w głowie kompletną pustkę. Uniósł się na łokciu z uczuciem narastającej paniki.

Leżał na wąskim łóżku, w rogu ciemnego pomieszczenia bez okien. Na środku sufitu wisiała zaczepiona na łańcuchu lampa naftowa, a ze ścian, pokrytych starodawnymi kilimami, spoglądały na Chavasse'a wszystkie dobre i złe bóstwa buddyjskiego panteonu.

Aby nie patrzeć na wyłaniające się z mroku ogromne, demoniczne twarze, zamknął na chwilę oczy i wtedy usłyszał niski głos, powtarzający monotonnie te same słowa. Spojrzał więc jeszcze raz i uprzytomnił sobie, że w tym mroku, zaledwie parę stóp od niego, cały czas siedział buddyjski kapłan w stożkowatym kapeluszu i szacie o barwie szafranu. Jego modlitwie towarzyszył stukot szybko przesuwanych paciorków buddyjskiego „rózańca”.

Kiedy Chavasse poruszył się, mnich przerwał modlitwę, powstał z klęczek i podszedł ku niemu.

Wydawał się niewiarygodnie stary. Jego żółta, zniszczona twarz pokryta była tysiącami zmarszczek.

Nagle uśmiechnął się i odchyliwszy kilim, wiszący w nogach łóżka, zniknął w niskim, łukowato sklepionym przejściu.

Chavasse poczuł się całkiem nieźle. Nawet utrzymujący się od przybycia do Tybetu lekki ból

głowy zniknął. Odsunął owcze skóry i opuścił nogi na podłogę. W tej samej chwili kilim za łóżkiem został ponownie odsunięty i do środka wszedł Joro.

Tybetańczyk, ubrany tak, jak w czasie przeprawy: w brązowy chałat i owczy serdak, uśmiechał się przyjaźnie. Ten drugi Joro, ten, który nosił maskę księcia ciemności, był chyba przywidzeniem.

— Jak pan się czuje? — zapytał.

— Wydaje mi się, że całkiem nieźle — odparł Chavasse. — Sam nie wiem, co sprawiło, że się

tak zachowałem. Musiałem mieć chyba gorączkę, czy co?

— Tak, to tylko góraska gorączka, nic więcej. Powoduje, że człowiek wyprawia dziwne rzeczy.

Nasz kapłan podał panu specjalne lekarstwo.

— Zaskoczyliście ich kompletnie — stwierdził Chavasse.

— No cóż. — Joro wzruszył ramionami. — Mieli karabin maszynowy, więc trzeba było zaaranżować zasadzkę, tak aby uniknąć możliwych strat. Na szczęście wszystko poszło zgodnie z planem. Biegłem przez całą noc, by zdążyć na czas. Wiedziałem, że zawiozą pana do Changu, a to znaczyło, że będą musieli tędy przejeżdżać.

— A co z Rosjaninem? Nie żyje?

— To oczywiste — przytaknął beznamiętnie Joro. — Dla moich ludzi Rosjanie i Chińczycy to tylko dwie strony tego samego medalu.

— Szkoda — w głosie Chavasse'a brzmiała nuta szczerego żalu. — Był to całkiem fajny facet, niezależnie od punktu widzenia.

— Nie z mojego — odparł Joro. — Dla mnie był wrogiem, a tu toczy się wojna i tyle. Kiedy moi rodacy ruszają do walki, nie jestem w stanie ich powstrzymać. Z trudem udało mi się uratować pana.

— Przyjmij moje podziękowanie.

— Nie jest potrzebne. — Joro potrząsnął z przekonaniem głową. — Spłaciłem po prostu dług. Tam, nad jeziorem, pan uratował mi życie. Jest pan szybki.

— Mam nadzieję, że znaleźliście broń? — zmienił temat Chavasse. — Była w bagażniku dzipa.

— Tak, w sąsiednim pomieszczeniu moi ludzie czyszczą ją właśnie, przygotowując do użycia.

Chodźmy do nich. Jest tam ogień i dostanie pan filiżankę herbaty... niestety, tybetańskiej, ale w końcu musi pan do niej przywyknąć.

Odchylił kilim i poprowadził swego gościa do obszernego, ale niskiego pomieszczenia z

wąskimi okienkami, umieszczonymi tuż pod sufitem. Karabiny leżały na długim drewnianym stole, a trzech tybetańskich partyzantów zajmowało się nimi z profesjonalną zręcznością.

— Wygląda na to, że znają się na rzeczy — zauważył Chavasse.

— Tybetańczycy są bardzo zdolni. To jest coś, czego Chińczycy jeszcze nie zauważyli.

Na wielkim, kamiennym palenisku jasnym płomieniem paliło się łajno jaków. Podczas gdy Chavasse oswajał się z otoczeniem, Joro skruszył sporą garść zbitej w kostkę herbaty i wsypał ją do kociołka z wrzątkiem. Następnie dodał jeszcze nieco tłuszczu i odrobinę soli.

— A nie masz przypadkiem czegoś takiego jak papierosy? — zapytał Chavasse.

— Jeden z moich ludzi opróżnił kieszenie Rosjanina — skinął głową Joro. — To, co w nich znalazł, leży na stole, o tam! Zdaje się, że są tam również trzy czy cztery paczki papierosów.

Chavasse podszedł do stołu i przez chwilę stał, przyglądając się temu, co pozostało po człowieku. Portfel, dokumenty i papierosy.

Zapalił jednego i powrócił do ognia z portfelem i dokumentami. Usiadł na twardej, drewnianej ławie i poddał je fachowej lustracji.

Portfel zawierał plik chińskich banknotów, kilka listów, najwyraźniej od przyjaciół z Rosji, oraz kartę członkowską moskiewskiego klubu prasowego. Nie było tam na szczęście czegoś takiego, jak zdjęcie żony czy dzieci i Chavasse, czując ogromną ulgę, zaczął przeglądać dokumenty.

Było pomiędzy nimi standardowe zezwolenie na wjazd do Chin, a także specjalna, ostemplowana w Pekinie wiza, zezwalająca Kurbskiemu na swobodne poruszanie się po Tybecie. Zezwolenie to podpisał również komendant prowincji, rezydujący w Lhasie. Wszystko było powalane krwią i zniszczone uderzeniem noża, jednakże fotografia Rosjanina w paszporcie pozostała nienaruszona.

Chavasse, patrząc na te papiery, pogrążył się w rozmyślaniach tak głęboko, że nie usłyszał Jora zapraszającego go do wypicia herbaty. Nawet, gdy Tybetańczyk wcisnął mu do ręki metalowy kubek, opróżnił go zupełnie mechanicznie.

— Jak panu smakowała nasza herbata? — uśmiechnął się Joro.

Chavasse spojrział na pusty kubek w swoich rękach, zmarszczył brwi, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Sam nie wiem, kiedy ją wypilem — odparł. — Proszę jeszcze.

Herbata, niespodziewanie, odświeżyła go całkowicie. Poczuł, że krew znowu krąży w nim żywiej.

— Daleko stąd do Changu? — zapytał, zapalając kolejnego papierosa.

— Około dziewięćdziesięciu mil — odparł Joro. — Dwa dni wytężonej konnej jazdy.

— Więc może pojechalibyśmy tam dżipem?

— To chyba niemożliwe — stwierdził Joro. — W Changu stacjonuje co najmniej dwustu żołnierzy, a najbliższa okolica jest regularnie patrolowana. Gdybyśmy nawet zdołali zbliżyć się do miasta, natychmiast nas zaaresztują.

— A gdybyśmy dżipem wjechali do miasta?

— Jak to? — Joro zmarszczył brwi w wyrazie nie tajonego niedowierzania.

— Mógłbym im powiedzieć, że nazywam się Andriej Siergiejewicz Kurbski i jestem rosyjskim dziennikarzem, zwiedzającym Tybet na podstawie zezwolenia wydanego przez Komitet Centralny w Pekinie. Powinienem chyba dodać, że mówię płynnie po rosyjsku.

— A jak pan zamierza wytłumaczyć brak eskorty?

— Żołnierze zostali zamordowani przez bandytów podczas noclegu. Ty jesteś przewodnikiem, którego wynająłem w Lhasie i który ocalił mi życie, nakłaniając napastników do pozostawienia mnie przy życiu dla okupu.

— Rozumiem. — Joro pokiwał wolno głową. — I kiedy reszta spała, nam udało się uciec dżipem. Czy tak?

— Też jesteś szybki — uśmiechnął się Chavasse.

— Zapomniał pan o jednym. — Joro potrząsnął głową. — Na tych dokumentach jest jego zdjęcie.

Jednym szybkim gestem Chavasse wrzucił do paleniska poplamione krwią dokumenty. Jeszcze ostatni raz Kurbski spojrział na niego, by po chwili zniknąć w płomieniach.

— Powiemy, że bandyci opróżnili mi kieszenie — tłumaczył Chavasse. — Czy masz jeszcze jakieś zastrzeżenia?

— Tylko takie, że to wielkie ryzyko. — Joro wzruszył ramionami. — Ale jest coś, co działa na naszą korzyść. Jeden z moich ludzi wrócił z Changu ostatniej nocy. Pułkownik Li wybrał się wła-

śnie na inspekcję daleko położonych garnizonów. Zastępuje go młody i niedoświadczony kapitan Tsen.

— To się świetnie składa — oświadczył Chavasse. — Nawet jeżeli połączy się z Lhasa, to nie zyska nic więcej jak to, że będzie musiał przeprosić mnie w imieniu chińskiej władzy za nieprzyjemne zdarzenie, które spotkało mnie na strzeżonym przez niego terytorium. Potwierdzą tylko, że Kurbski faktycznie podróżuje po Tybecie.

— Co zrobimy dalej, zakładając, że Tsen puści nas wolno?

— Przecież Kurbski szukał tematu do korespondencji — zastanawiał się Chavasse — więc nie widzę powodu, dla którego nie miałbym przyjechać do Changu właśnie po to, aby przeprowadzić wywiad z doktorem Hoffnerem.

Tybetańczyk uśmiechnął się i w jego oczach pojawiły się iskry.

— Wyplatalibyśmy doprawdy niezłego figla Chińczykom. Znając pana Hoffnera, przypuszczam, że zaproponuje panu gościnę u siebie w domu — mówił Joro, a uśmiech z wolna zniknął z jego twarzy. — Jednakże musielibyśmy załatwić wszystko do czasu powrotu pułkownika Li. Zapewniam pana, że ten człowiek nie da się tak łatwo oszukać.

— Więc wyruszajmy jak najprędzej.

Pozostawił Tybetańczykowi przygotowania do wyprawy, a sam wyszedł na zewnątrz, stanął u szczytu schodów i popatrzył na piaszczysty podwórzec klasztoru.

Był całkiem opustoszały i tylko mnisi, siedząc rzędem pod ścianą, modlili się wspólnie, napełniając ciszę monotonnym mrużeniem.

Wydawało się całkiem niewiarygodne, że tak niedawno miejsce to nawiedziła gwałtowna śmierć, jednak kiedy szedł w stronę dżipa, spostrzegł wielkie, czerwone plamy krwi, która jeszcze nie zdążyła całkiem wsiąknąć w ziemię.

Usiadł za kierownicą, zapalił papierosa i zaczął rozmyślać. Pięć tysięcy lat temu, któryś z proroków ze Starego Testamentu podsumował ten rodzaj ludzkich doświadczeń trafniej niż mógłby się o to pokusić ktokolwiek ze współczesnych intelektualistów: „Nie poznasz ani dnia swego ani



godziny".

Kurbskiego, który przeżył zapewne w swym życiu wiele niebezpiecznych sytuacji, śmierć zaszkodziła na tym pełnym spokoju dziedzińcu, tysiące mil od miejsc, w których mógłby się jej spodziewać.

Chavasse mimowolnie zadrzał. Ta ostatnia refleksja wstrząsnęła nim i zastanawiał się nad tym wszystkim, dopóki z klasztoru nie wyszedł Joro. Chwilę później wyjeżdżali do Changu.

Przez pierwsze kilka godzin jechali zawianym przez piaski starodawnym szlakiem karawan, rozjeżdżonym obecnie przez gąsienice i koła chińskich pojazdów wojskowych.

Widzieli w kilku miejscach pasące się stada i wyprzedzili długą karawanę ciężko obciążonych jaków i mułów. Otaczał ich surowy pejzaż dzikich, pofałdowanych stepów, ciągnących się w nieskończoność, aż po sam horyzont. Tu i ówdzie widniały na tle nieba dziwaczne kamienne kopce z żerdziami, na których powiewały strzępy papieru z wypisanymi na nich modlitwami.

Po czterech godzinach od opuszczenia Yalung Gompa, Chavasse zahamował ostro i dotknął ramienia Jora, drzemiącego obok na siedzeniu dżipa.

Miasto Changu położone było w rozległej dolinie nad rzeką. Płaskodache domostwa wspinały się rzędami na przeciwległe zbocze doliny. W samym środku starożytnego, otoczonego murem miasta wznosił się imponujący, pomalowany na czarno, czerwono i zielono klasztor.

— Czy ten klasztor pozostaje nadal otwarty? — zapytał Chavasse i włączywszy niski bieg, zaczął zjeżdżać w dół.

Młody człowiek potrząsnął głową.

— Zmienił swe przeznaczenie. Zajął go pułkownik Li. W całym Tybecie funkcjonuje zaledwie kilka klasztorów. A Yalung Gompa pozostał na razie nietknięty ze względu na swe odosobnienie od reszty kraju.

Miasto otaczały znajome jurty koczowników. Wkrótce, budząc wśród pasterzy niezwykle zainteresowanie, znaleźli się razem z karawaną jaków przy jego murach. Wjechali do środka przez wysoko sklepioną bramę główną.

Tuż za nią stał, nie pasujący do jej architektury, biały betonowy budyneczek. Trzech żołnierzy w mundurach z surowego płótna grało w kości, przykucnąwszy obok wejścia.

— Najlepszy dowód, że pułkownik Li znajduje się poza miastem — zauważył Joro.

Chavasse nie tracił czasu na zatrzymywanie się przy niesumiennych żołdakach. Kiedy spojrzeli na niego z przestachem, zatrąbił głośno i ruszył do przodu, rozpędzając ludzi i płosząc zwierzęta. Z rozpędem wjechał na dziedziniec klasztoru. Zahamował gwałtownie na samym środku podwórca, mając nadzieję, że ten manewr wypadł dostatecznie nonszalancko.

Drzemiący w cieniu żołnierz zerwał się na nogi i zdjął z ramienia automat.

— Mam iść z panem? — zapytał Joro.

— Nie. — Chavasse potrząsnął przecząco głową. — Pozostań w aucie. Będziesz miał szansę ucieczki, jeżeli nie uda mi się ich przekonać.

Wysiadł i wszedł szybkim, energicznym krokiem na schody klasztoru, zapalając jednocześnie papierosa.

Żołnierz zrobił krok do przodu, cały czas trzymając palec na spuście, a wtedy Chavasse warknął:

— Zaprowadź mnie do pułkownika Li, no już!

Stanowczy ton jego głosu wywarł odpowiednie wrażenie na chińskim żołnierzu. Opuścił broń i pośpiesznie wyjaśnił, że pułkownika nie ma, ale zastępuje go kapitan Tsen. zaproponował, że natychmiast zaprowadzi do niego przybysza.

Ruszyli wzdłuż wyłożonego kamiennymi płytami korytarza, wspięli się na schody i innym korytarzem przeszli aż pod ciężkie drewniane drzwi. Wartownik otworzył je i cofnął się z szacunkiem, żeby przepuścić Chavasse'a przodem.

Przejęty rolą kapral, wyglądający raczej na ucznia niż żołnierza, spojrział na nich ze zdziwieniem znad biurka. Na widok Chavasse'a jego oczy stały się bardziej okrągłe niż okulary. Zerwał się na równe nogi.

— Gdzie jest kapitan Tsen? — Zapytał z gniewem w głosie Chavasse.

Kapral otworzył usta, aby coś powiedzieć, zamknął je ponownie i zwrócił się instynktownie w stronę drzwi w tyle pomieszczenia. Chavasse wyminął go, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Młodziutki oficer za biurkiem mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Powstał na widok gościa, zmieszany. Chavasse zauważył od razu, że wzrostu ma nie więcej niż metr pięćdziesiąt.

— Czy to wy jesteście Tsen? — zapytał ostro. — Mój Boże, na co wy tu pozwalacie! Żołnierze grają w kości przy bramie do miasta, a wartownicy podpierają ściany, podczas gdy buntownicy galopują dokoła, gdzie tylko chcą, i mordują waszych ludzi.

Tsen usiłował zachować resztkę autorytetu. Wyszedł zza biurka i zapinając kołnierzyk, zwrócił się gniewnym tonem do kaprała stojącego w otwartych drzwiach:

— Co tu się dzieje? Kim jest ten człowiek?!

— Kim jestem?! — przerwał mu Chavasse. — Dobry Boże! Człowieku, jestem Kurbski. Czyż Lhasa nie zawiadamiała was przez radio, że mam przybyć?!

— Kurbski? — Powtórzył bezmyślnie Tsen. — Lhasa?

— Jestem dziennikarzem, durniu! — Ryknął Chavasse. — Stałym korespondentem! Mam napisać serię artykułów o sytuacji w Tybecie. I mogę ci powiedzieć, jaka będzie treść pierwszego: przez kilkanaście godzin byłem więźniem morderczej bandy. Ludziom z mojej eskorty poderżnięto gardła! I to się wszystko ukaże w „Prawdzie”. Nie obchodzi mnie, kto jest odpowiedzialny za taki obrót sprawy, ale gdy Komitet Centralny w Pekinie dowie się o tym, głowy polecą, to pewne!

Twarz kapitana Tsena poszarzała. Szybkim ruchem podsunął przybyszowi krzesło.

— Proszę, usiądźcie, towarzyszu. Nie miałem pojęcia, że...

— Nie wątpię — oświadczył z goryczą w głosie Chavasse. — Mam nadzieję, że macie tu przynajmniej coś mocniejszego.

Tsen spojrzał wymownym wzrokiem na kaprała, który natychmiast podszedł do kredensu i wyjął z niego ciemną butelkę. Napełnił jedną szklanekę.

— Cóż to jest? — zawołał Chavasse, kiedy płyn zapiekł go w gardło. — Benzyna?!

Tsen próbował się uśmiechnąć, ale raczej bez powodzenia. Powrócił za biurko.

— Czy mógłbym zobaczyć wasze dokumenty, towarzyszu Kurbski?

— Dokumenty?! — zawołał Chavasse, prawdziwie zdumiony. — Dobry Boże, człowieku, prze-

cięż odarli mnie ze wszystkiego. Mam szczęście, że uszedłem z życiem. Połącz się jak najprędzej z Lhasą i dowiesz się o mnie wszystkiego, co trzeba.

Kapitan uśmiechał się z zażenowaniem.

— Oczywiście, towarzyszu, zaraz się połączymy. Ale bardzo proszę opowiedzieć mi najpierw, co właściwie zaszło.

Chavasse pokrótce opowiedział mu swoją historię.

— A ten Tybetańczyk, o którym, towarzyszu, wspominaliście, że uratował wam życie, to jest jeszcze z wami?

— Zostawiłem go w dziupie — przytaknął Chavasse — ale nie róbcie z niego bohatera. Pomógł mi tylko dlatego, że wiedział, co mu się opłaca. Ci Tybetańczycy to cholerna hołota. Jeżeli nie chcecie mieć problemów, musicie trzymać ich za mordę. I to mocno trzymać.

— Całkowicie się z wami zgadzam, towarzyszu — odrzekł z zaangażowaniem kapitan. — Jednakże Komitet Centralny nakazuje, abyśmy postępowali z nimi na razie tak łagodnie, jak się da.

— Najwyższy czas ich przycisnąć. Chavasse powstał. — Jeżeli nie macie więcej pytań, to chciałbym się nieco odświeżyć i coś zjeść.

Kapitan Tsen patrzył na niego, zmieszany.

— Dokąd zamierzacie się udać, towarzyszu? Z przyjemnością zaoferuję wam kwatery u nas.

Przybysz nieco złagodniał.

— To ładnie z waszej strony, towarzyszu kapitanie, ale mam nadzieję, że ten Hoffner przyjmie mnie na noc. To przecież ze względu na niego nadstawiłem karku.

Kapitan Tsen porwał się na nogi. Twarz miał pełną uśmiechów.

— Teraz rozumiem! Przybyliście do Changu, aby napisać dla waszej gazety artykuł o Dobrym Lekarzu?

— Nie przypuszczałem, żeby cokolwiek innego mogło mnie zainteresować w tym okręgu — odparł z przekonaniem Chavasse. — W Lhasie powiedziano mi o Hoffnerze i doszedłem do wniosku, że to nadzwyczajny człowiek.

— O tak, rzeczywiście jest niezwykle, towarzyszu — stwierdził Tsen. — Wieśniacy oddają mu prawdziwą cześć i to nam bardzo pomaga. — Sięgnął po czapkę. — Osobiście zaprowadzę was do niego.

Przybysz zmarszczył brwi.

— Ten, jak mówicie, Dobry Lekarz, pomaga wam utrzymać In porządek? W jaki sposób?

— To proste — zaczął tłumaczyć Tsen. — To człowiek bardzo oddany ludziom. Nasz pułkownik bardzo się z nim zaprzyjaźnił. Grają często w szachy.

Kiedy przechodzili przez sekretariat, Tsen zatrzymał się na chwilę i powiedział coś szybko do kaprała, który schwycił czapkę i wybiegi z biura.

— Wysłałem go przodem, aby uprzedził towarzyszkę Stranow, że przyjdziemy.

— Stranow? — zdziwił się znowu przybyły.

— To gospodyni doktora Hoffnera — wyjaśnił kapitan. — Jej ojciec był waszym rodakiem, a matka Chinką. To cudowna kobieta.

W jego głosie zabrzmiało nieoczekiwane ciepło, więc Chavasse uśmiechnął się.

— Wobec tego chciałbym ją jak najszybciej poznać.

Skinął ręką: Joro zrobił miejsce kapitanowi na przednim siedzeniu i przeniósł się sam do tyłu.

Zaraz potem wyjechali z dziedzińca świątyni, kierując się wąskimi uliczkami w dół miasta. Przejechali obok bazaru, gdzie handlarze dywanów rozkładali swój towar niemal pod nogami przechodniów, a szewcy i złotnicy na oczach gapiów, siedząc pod gołym niebem, trudzili się nad swymi wyrobami. Kiedy Chavasse naciskał klakson, ludzie rozpraszali się, rzucając im wrogie spojrzenia.

Dom Hoffnera należał do największych w mieście. Dwupiętrowy, z typowym płaskim dachem, otoczony był wysokim murem. Chavasse, kierując się wskazówkami kapitana sprawnie wjechał przez wąską bramę i zatrzymał auto przy drzwiach domu.

Wyłączył silnik, wygramolił się zza kierownicy i poszedł w kierunku frontowych drzwi. Tuż za nim prawie biegi Tsen. W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda, wysmukła kobieta.

Miała na sobie długie, wąskie, pikowane spodnie i rosyjską, wypuszczaną na wierzch koszulę z czarnego, lamowanego srebrem jedwabiu, zapiętą wysoko pod szyją. Jej jasne włosy pięknie kontrastowały z typowym dla Euroazjatek kremowym odcieniem skóry. Pełne wargi nadawały jej lekko zmysłowy wygląd.

Przedstawiała sobą ten typ zapierającej dech w piersiach urody, klóremu zawsze towarzyszy prostota. Chavasse zadrzał nagle i z całkiem niewiadomego powodu przeszedł go zimny dreszcz.

Stała przed nim, odważnie patrząc mu prosto w oczy. Polem uśmiechnęła się, promieniując wewnętrznym ciepłem.

— Miło mi was tu widzieć — odezwała się po rosyjsku. Chavasse zwilżył wyschnięte wargi.

— Cieszę się, że tu jestem — odparł i gdy mijał ją, wchodząc do domu, uświadomił sobie, że powiedział to szczerze.

## 7. Melodia majowego wieczoru

Pokój gościnny był okazały. Ściany zdobiły freski, a na drewnianej podłodze leżały wełniane dywany. A co najważniejsze, wyglądało na to, że łóżko jest bardzo wygodne.

Zanurzony po szyję w gorącej wodzie Chavasse siedział w dużej drewnianej balii stojącej koło rozpalonego kominka. Chavasse popalał w najlepsze rosyjskie papierosy Kurbskiego i myślał o Katii Stranow.

Była z pewnością szalenie kobieca. Postanowił zachowywać się bardzo ostrożnie. Powitała go życzliwie, ponieważ rosyjska krew w jej żyłach przeważała nad azjatycką domieszką, to oczywiste.

Uważała się za Europejkę i pewnie czuła się obco na Dalekim Wschodzie.

Zastanawiało go, w jaki sposób zaspokaja potrzebę męskiego towarzystwa. Bóg jeden wie. Hoffner jest zbyt stary, a kapitan Tsen zbyt młody i naiwny. Pozostawał jeszcze pułkownik Li. No cóż, to, czego nie znamy, wydaje się nam najbardziej interesujące.

Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Joro. Niósł przed sobą stos czystych ubrań. Złożył je na krześle i przykucnąwszy obok balii, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Ta kobieta powiedziała, żeby przynieść panu czyste ubranie.

— Myślałem właśnie, jakby się tu z tobą skontaktować — powiedział Chavasse. — Jak cię traktują?

— Mam spać w kuchni. No cóż, jest tam przynajmniej cieplej niż w stajni — machnął ręką z rezygnacją, potem zmarszczył czoło i mówił dalej: — Od czasu, kiedy tu byłem po raz ostatni, nastąpiły pewne zmiany.

— Jakie? — Chavasse sięgnął po ręcznik, wstał i zaczął się wycierać.

— Nie ma już nikogo, kto mógłby mnie rozpoznać, i to dobrze. Ta Stranow też mnie nigdy przedtem nie widziała. Jest tu teraz poza nią jedynie para służących.

— Więc co cię niepokoi?

— To, że oboje są Chińczykami i najwyraźniej pogardzają Tybetańczykami. Dali mi to wyraźnie do zrozumienia.

— Uważasz, że pracują dla pułkownika Li?

— Nie mam pewności, ale powinien pan na nich bardzo uważać.

— Nie martw się — odrzekł z przekonaniem Chavasse — będę ostrożny.

Ubrał się szybko w czarną jedwabną koszulę, którą przysłała mu Katia wraz z bielizną. Taką samą jak ta, w której wyszła mu na powitanie. Włożył także miękkie spodnie i gruby wełniany sweter.

Zlustrował uważnie swe odbicie w lustrze, przeczesał włosy i odwrócił się do Jora.

— Jak wyglądam?

— Jest pan przystojnym mężczyzną, towarzyszu Kurbski. — Joro wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. — Zrobi pan na niej wrażenie.

— Miejmy nadzieję — odparł Chavasse. — To może okazać się potrzebne. A teraz wracaj już do kuchni, Tybetańczyku. Zobaczymy się później.

Kiedy schodził na dół, otworzyły się jakieś drzwi i do holu weszła Katia Stranow. Usłyszawszy jego kroki, zatrzymała się i spojrzała na niego błyszczącymi w świetle lampy oczami.

Miała na sobie długą obcisłą suknię z czarnego jedwabiu, chińską w kroju, obramowaną szkarłatnym haftem. Sukienka była tak doskonale dopasowana, że wyglądała jak druga skóra. Zapięta wysoko pod szyją miała z obu stron dwa dyskretne rozcięcia, które odsłaniały na mgnienie oka smukłe nogi dziewczyny, gdy szła przez hol, aby powitać Chavasse'a.

— Wyglądacie o wiele lepiej po kąpeli — oznajmiła. — Teraz przydałaby się szklaneczka czegoś mocniejszego i dobre jedzenie.

— Przepadam za czymś takim — odparł — ale najpierw pozwólcie, że przyjrzę się wam przez chwilę. Cudowna suknia.

Mógłby przysiąc, że się zaczerwieniła. Jednakże nie miał całkowitej pewności, jako że światło lampy było zbyt słabe. Ujęła go za ramię i uśmiechnęła się.

— Doktor Hoffner już na was czeka.

Otworzyła drzwi i wprowadziła gościa do obszernej, wygodnej bawialni. Jej ściany od podłogi po sufit zabudowane były półkami pełnymi książek, ale stół na środku nakryty był do posiłku. W wielkim, otwartym piecu wesoło buzował ogień, którego roztańczone płomienie odbijały się w błyszczącej, czarnej pokrywie fortepianu, stojącego przy oknie. W tym niezwykłym salonie panował cudowny spokój i cisza.

Starszy pan, siedzący w fotelu przy piecu, odłożył jakąś lekturę i powstał na przywitanie. Był to jeden z najpotężniejszych mężczyzn, z którymi Chavasse kiedykolwiek się zetknął. Miał niezwykle szerokie ramiona i gęste śnieżnobiałe włosy, zaczesane za uszy. Nosił welwetową starą marynarkę i koszulę bez krawata. Ale uwagę Chavasse'a przyciągnęły przede wszystkim jego niezwykle oczy:

ciemne, głębokie, wypełnione niewiarygodnym spokojem.

Przez chwilę obaj mężczyźni badali się wzrokiem. Przez czoło uczonego przebiegł lekki cień, ale zaraz potem Hoffner wyciągnął do gościa rękę.

— To dla mnie wielka przyjemność, towarzyszu Kurbski. Naprawdę ogromna. Rzadko mamy okazję przyjmować kogokolwiek.

— Nie mogłem doczekać się spotkania z panem — odparł Chavasse. — Mówi pan świetnie po rosyjsku.

— To zasługa Katii, nie moja. — Hoffner spojrzał z uczuciem na dziewczynę. — Kiedy przy-



była tu rok temu, nie znałem jeszcze tego języka.

Podeszła do niego i pocałowała w policzek.

— Proszę do stołu — zaprosiła. — Towarzysz Kurbski jest pewnie głodny. Będziecie, panowie, mieli jeszcze wiele czasu, aby porozmawiać do woli.

Zadała sobie najwyraźniej wiele trudu, żeby przygotować taką ucztę. Zapalone świece stwarzały miłą nastrój, a jedzenie było doskonale przyrządzone. Rosół z kury, baranina, ryż ugotowany na sypko i chińska sałatka z jarzyn. Na deser podano gruszki w syropie. Nie zabrakło nawet butelki niezłego wina.

Po tej uczcie Hoffner westchnął, potrząsnął głową i wstał.

— Nie mam pojęcia, skąd ona to wszystko wytrzasnęła, szanowny towarzyszu.

— Nasz drogi doktor jest odrobinę hipokrytą — zwróciła się Katia do gościa. — Co tydzień pozwala temu biednemu pułkownikowi Li wygrać jedną partię szachów, co wprawia naszego gościa w tak dobry humor, że niczego nie jest w stanie mi odmówić.

— Pułkownik Li jest jednym z najlepszych szachistów, z którymi zdarzyło mi się potykać — odparł Hoffner — więc wcale nie muszę mu pomagać w wygranej. Ale trzeba przyznać, że mamy z tego tytułu pewne przywileje.

Usiedli nie opodal otwartego pieca, podczas gdy Katia przyrządzała kawę przy małym spirytusowym podgrzewaczu. Wyglądała uroczo, kiedy odbicia płomieni igrały refleksami w jej jasnych włosach. Patrząc na nią, Chavasse uświadomił sobie, że opada z niego całe napięcie i że czuje się zupełnie swobodnie.

Zapalił jednego ze swych rosyjskich papierosów i delektując się nim, wydmuchnął kłęb dymu.

Katia pociągnęła nosem i westchnęła:

— Jaki przyjemny zapach. Nic nie może równać się z nim. Przypomina mi dom rodzinny.

— Proszę się poczęstować.

— Lepiej nie — potrząsnęła przecząco głową. — Mogłabym się przyzwyczaić i co wtedy? Oj, jedzcie... Gdzie dostałabym takie papierosy? — Nalała kawy do filiżanek z najdelikatniejszej porcelany i podała mu jedną. — Co słyhać w Moskwie?

— No cóż. — Gość wzruszył ramionami. — Na przedmieściach powstały wielkie osiedla mieszkaniowe, ale poza tym wszystko jest takie, jak było. Szczerze mówiąc, rzadko mam okazję pozostawać w naszej pięknej stolicy. Więcej czasu spędzam za granicą.

— Życie zagranicznego korespondenta musi być bardzo interesujące — westchnęła. — Ciągłe nowe miejsca, nowe twarze.

— Trzeba przyznać, że moja praca ma dobre strony — uśmiechnął się Chavasse. — Na całe nie-szczęście nigdy nie mam na tyle czasu, aby dogłębnie poznać to, co najpiękniejsze.

— A dlaczego teraz postanowiliście poznać Tybet?

— Nasi rodacy interesują się tym, co się tu dzieje, a dobry dziennikarz powinien być zawsze tam, gdzie wietrzy okazję do napisania czegoś ciekawego.

— Czy już znaleźliście jakiś temat?

— Na początek mam historię o moich własnych wczorajszych przygodach — oświadczył Chavasse. — I mam nadzieję, że doktor Hoffner podsunie mi wiele innych pomysłów.

Hoffner, który ćmił fajkę, przysłuchując się ich rozmowie, podniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

— Myślałem, że już wszyscy o mnie zapomnieli.

— Jest pan zbyt skromny — stwierdziła Katia i zwróciła się znowu do gościa. — Czy dacie wiarę, że nasz doktor w wieku siedemdziesięciu pięciu lat każdego dnia przyjmuje chorych? Czy o tym powiedziano w Lhasie? Oddał całe swoje życie Tybetowi, choć mógł otrzymać, gdyby tylko zechciał, katedrę na każdym z europejskich uniwersytetów.

— Daj spokój, moja droga — wtrącił Hoffner. — Nie powinnaś przypinać mi za życia aureoli świętego pustelnika. Jestem, jaki jestem.

— Prawdę mówiąc, właśnie tak o panu mówią — oznajmił Chavasse. — Uważają pana, jeżeli nie za świętego, to w każdym razie za wielkiego misjonarza.

— Te sprawy — westchnął uczony — ostatnimi laty bardzo zaniedbałem.

— Czy wolno zapytać dlaczego?

— To proste. — Hoffner pochylił się do przodu i spojrział w płomienie. — Przybyłem tu jako

lekarz i misjonarz. Zamierzałem ratować zarówno dusze, jak i ciała. Jednakże szybko stwierdziłem, że znalazłem się wśród ludzi głęboko religijnych, do tego przywiązanych do swojej wiary w sposób zupełnie niepojęty dla większości Europejczyków. Cóż mógłbym im zatem dać od siebie w sferze życia duchowego?

— Rozumiem — zgodził się Chavasse. — Jakie miejsce znalazł pan zatem wśród nich?

— Postanowiłem, że będę służył im jedynie mą wiedzą medyczną— odparł Hoffner. — Kiedy będą mnie potrzebowali. Oprócz tego cały czas starałem się ich zrozumieć i być ich przyjacielem.

— Niech mi pan wybaczy pytanie, które może zakłócić atmosferę naszej rozmowy, ale chciałbym mieć w miarę pełny obraz sytuacji. Czy Chińczycy nie przeszkadzają panu w tej sielan-ce?

— Prawdę mówiąc, pomagają mi nawet — oświadczył uczony. — Moja klinika jest przepelniona bardziej niż kiedykolwiek. Wprawdzie nie pozwolono mi opuszczać granic miasta, ale to tylko ze względu na moje bezpieczeństwo. W całym tutejszym regionie wciąż jest bardzo niespokojnie. Zresztą przekonał się pan o tym na własnej skórze.

— Czy chce pan powiedzieć, że zmiana władzy wyszła tym ludziom na dobre?

— Zdecydowanie tak. Niech pan weźmie na przykład zaopatrzenie w leki. Dawniej wszystko, czego potrzebowałem, musiałem sprowadzać z Indii, korzystając z kursujących rzadko karawan.

— A teraz?

— Otrzymuję wszystko, bez żadnych trudności, od pułkownika Li. Chińczycy opanowali kraj pogrążony w mrokach średniowiecza. Ludzie są zacofani i ciemni. Teraz wszystko to się zmienia.

Chavasse uśmiechnął się grzecznie, chociaż w głębi ducha był przerażony pewnością, z jaką wygłaszał swe sądy stary pan. Zanim podjął ten temat, Katia wstała i wymawiając się obowiązkami opuściła bawialnię.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Chavasse natychmiast zmienił temat.

— Nieprzeciętna dziewczyna — zauważył.

— O tak — zgodził się Hoffner. — Jej ojciec był archeologiem. Pracował dla rządu chińskiego

w Pekinie przy wykopaliskach pradawnego pałacu cesarskiego. Pozwolono mu odwiedzić Lhasę przed powrotem do domu, ale zmarł po drodze. Katia przybyła do miasta z karawaną w tydzień po pogrzebie. Była chora, biedne dziecko, więc udzieliłem jej takiej pomocy, na jaką mogłem sobie pozwolić.

— I zdecydowała, że pozostanie w Changu?

— Pułkownik Li powiedział, że może zorganizować jej powrót do Związku Radzieckiego —

odparł Hoffner — ale akurat miałem poważne kłopoty sercowe i ta dziewczyna pielęgnowała mnie przez pół roku, dopóki nie doszedłem do siebie. Od tego czasu nie było już mowy o opuszczeniu Changu.

— To wszystko pasuje mi do interesującego artykułu — stwierdził Chavasse. — A zatem, uogólniając, jest pan zadowolony ze swego pobytu tutaj?

— Oczywiście! — Hoffner wskazał na ściany obstawione półkami pełnymi książek. — Mam książki, fortepian, no i pomagam ludziom w klinice.

— Szczególnie interesuje mnie ten fortepian — oświadczył Chavasse. — To raczej rzadki instrument w tak zapadłym kącie świata. Mówiono, że jest pan doskonałym pianistą?

— To lekka przesada — odrzekł Hoffner — ale byłoby dla mnie wielkim ciosem, gdybym nie mógł pograć sobie czasem. Sprowadziłem ten instrument karawaną jeszcze przed wojną. W tym świetle prezentuje się znacznie lepiej niż w rzeczywistości, ale zaręczam, że ton fortepianu jest naprawdę doskonały.

Podniósł się, przeszedł kilka kroków i usiadł za klawiaturą. Zagrał kilka akordów z poloneza Szopena i spojrzał na gościa.

— Czy ma pan jakiś ulubiony utwór?

Chavasse stał przy piecu. Aby zyskać na czasie zapalił papierosa. Potem zaciągnął się głęboko i powiedział od niechcienia po angielsku:

— Sam nie wiem. Może mogłaby to być jakaś melodia odpowiednia do słuchania w majowy wieczór w Oksfordzie?

Twarz starego człowieka wygładziła się i przez chwilę było tak cicho, że Chavasse słyszał delikatny

szum wiatru poruszającego za ścianami domu gałęzie drzew.

— Jak tylko wszedł pan do bawialni — oświadczył, również po angielsku Hoffner — wiedziałem, że nie jest pan tym, za kogo się podaje.

— Niedawno wysłał pan do swego przyjaciela list — oznajmił Chavasse. — Może mnie pan uważać za odpowiedź.

— Więc Joro dotarł szczęśliwie do Indii — ucieszył się uczony.

— Wygrzewa się obecnie w pańskiej kuchni. To on jest właśnie tym tybetańskim przewodnikiem, który rzekomo uratował mnie z rąk morderców. Zobaczy się pan z nim wkrótce.

— Dlaczego pan prosił, abym zagrał melodię stosowną na majowy wieczór w Oksfordzie?

— Dawno temu, właśnie w taki majowy wieczór, rzucał pan monetę z Edwinem Craigiem o to, kto pierwszy oświadczy się dziewczynie, oczekującej na was w ogrodzie. Los wskazał na pana, ale ona wybrała jego, i potem grał pan dla nich jakąś melodię.

— Czasami — westchnął Hoffner — wydaje mi się, że to zdarzenie miało miejsce tysiące lat temu. Kiedy indziej czuję jeszcze zapach mokrego po deszczu bzu. Oczywiście pamiętam, co wtedy grałem.

Zaczął wystukiwać pierwsze akordy dziewiątej symfonii Beethovena, ale Chavasse potrząsnął przecząco głową.

— Myli się pan, panie doktorze, to była Sonata Księżycowa.

Przez dłuższą chwilę uczony patrzył na niego badawczo, a potem promienny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Wstał i wyciągnął rękę do gościa.

— Mój drogi chłopcze, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę z twego przybycia.

Wrócili do pieca. Hoffner przysunął swoje krzesło. Siedzieli teraz bardzo blisko, niemal dotykając się głowami. Dopiero wtedy Hoffner zapytał:

— Jak się ma mój przyjaciel?

— Jest w świetnej kondycji i marzy o tym, żeby pana zobaczyć. Właśnie dlatego przybyłem do

Tybetu.

— Spotkać się ze mną? — Wyraz niedowierzania pojawił się na twarzy uczonego. — Przecież to niemożliwe. Chińczycy nigdy mnie stąd nie wypuszczą.

— Na razie mniejsza o to — odparł Chavasse. — Czy zaryzykowałby pan, gdyby okazało się to możliwe? Odniosłem wrażenie, że aprobeuje pan zmiany, jakie nastąpiły w tym kraju?

— Czego, u diabła — odchrząknął uczony — oczekiwał pan ode mnie, skoro przedstawił się pan jako korespondent tej zakłamej „Prawdy”? To prawda, że pułkownik Li okazuje mi wiele uprzejmości. I nie mogę zaprzeczyć, że robi, co może, żeby nie brakowało lekarstw w mojej klinice.

— Komuniści raczej rzadko bywają filantropami — zauważył Chavasse.

— To proste — odparł Hoffner. — Zasiedziałem się tutaj i jestem czymś w rodzaju symbolu.

Tutejsi ludzie mi wierzą. Fakt, że klinika funkcjonuje oznacza dla nich, iż nie sabotuję nowej władzy, a nawet w jakiś sposób z nią kooperuję. I taki stan rzeczy dogadza Chińczykom.

— A z drugiej strony, zaprzestanie pracy byłoby równoznaczne z pozbawieniem tego regionu jedyniej pomocy medycznej — zrozumiał Chavasse. — Pułkownik Li wie jak łowić ludzi w swe sieci.

— Tę umiejętność posiadało wielu prawdziwych komunistów — zauważył Hoffner.

— I dlatego właśnie muszę jeszcze raz pana zapytać: czy jest pan zdecydowany opuścić Tybet, jeżeli nadarzy się okazja?

Uczony wystukał popiół z fajki do paleniska i począł ją na nowo napełniać tytoniem. Zmarszczył brwi i milczał przez chwilę.

— Młody człowieku — odezwał się wreszcie. — Jestem już stary i chory. Nie pożyję długo. Nie aprobeuję komunistycznych rządów nad tym krajem, ale przynajmniej pozwalają mi pomagać temu biednemu ludowi. Sądzę, że jest moim obowiązkiem kontynuować moją pracę przez te kilka lat, które mi jeszcze pozostały.

— A jeżeli udowodnię panu, że poza granicami Tybetu jest pan jeszcze bardziej potrzebny? — zapytał Chavasse. — A skala pańskiej przydatności jest niewyobrażalnie wielka?

— Może zechciałby pan wyjaśnić, co ma pan na myśli — zapytał Hoffner i uśmiechnął się nagle. — A w ogóle powinien mi się pan wreszcie przedstawić.

Gość wzruszył ramionami.

— Moje nazwisko nic panu nie powie, ale proszę bardzo: Chavasse. Paul Chavasse.

— Oo! Francuz — stwierdził uczony. — To interesujące, wolałbym jednak, żebyśmy na razie mówili po angielsku. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność.

Chavasse zapalił papierosa i pochylił się do przodu zniżając głos.

— Przed wieloma laty, w pracy z zakresu matematyki teoretycznej, wystąpił pan z interesującą hipotezą: dowodził pan możliwości określenia energii w kosmosie za pomocą pewnego wzoru...

— Skąd pan o tym wie? — uczony zmarszczył brwi.

— Wspomniał pan o tym w swym liście. Pisał pan też, że wyprowadził pan obecnie ostateczne rozwiązanie tego wzoru. Innymi słowy, udowodnił pan, że przestrzeń kosmiczna sama w sobie może zostać przemieniona w pole energetyczne.

— Zgoda — odezwał się zdziwiony Hoffner — ale nie rozumiem, dlaczego Edwin Craig tak się tym wszystkim nagle zainteresował. W najlepszym wypadku jest to tylko frapująca koncepcja matematyczna. Nie ma praktycznego zastosowania. Zapewniani pana.

— Może by tak było, gdyby nie to, że Rosjanie wysłali w kosmos człowieka — wypalił Chavasse — a zaraz potem następnego, aby udowodnić światu, że to nie kaczka dziennikarska.

Hoffner właśnie zbliżał zapaloną drzazgę do fajki. Znieruchomiał w tym geście i wydawało się, że w jego oczach coś zabłysło.

— Mam nadzieję, że pan sobie ze mnie nie żartuje? — zapytał w końcu.

— Gdzieżbym śmiał — zaprzeczył Chavasse. — Amerykanie także poczynili znaczne postępy w tej samej dziedzinie. Mają może mniej spektakularnych sukcesów, ale za to pracują dokładniej i mniej nerwowo. Nie umiałbym powiedzieć, kto będzie pierwszy na księżycu. Chociaż jednego jestem pewien. To na pewno nie będzie Chińczyk. W tym wyścigu oni się nie liczą.

— I dlatego jesteśmy tu odcięci od jakichkolwiek informacji. — Hoffner zerwał się na równe nogi i zdenerwowany podszedł do okna. Odwrócił się. — Po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę wściekły. Nie tylko jako naukowiec, ale jako człowiek. Pomyśleć, że podczas gdy tutaj nic się nie zmieniało, tam gdzieś człowiek zrobił pierwszy krok w kosmos. A to jest przecież najpiękniejsza

przygoda, o jakiej może marzyć ludzkość.

Wrócił do swojego fotela i usiadł. Jego twarz się ożywiła, oczy błyszczały.

— Opowiedz mi, chłopcze, wszystko, co wiesz na ten temat. Jakiego napędu używają?

— Stosowane są zarówno stałe, jak i ciekłe paliwa — odparł Chavasse — a same rakiety są wielostopniowe.

— Ależ mój drogi, to jest bardzo prymitywne rozwiązanie — zwątpił Hoffner. — Wystrzelić satelitę na orbitę ziemską to nie to samo, co dotrzeć na księżyc lub dalej...

— I właśnie dlatego wysłano mnie do pana — tłumaczył Chavasse. — Rosjanie pracują od lat nad tak zwaną jonową rakieta, która ma wykorzystywać jako napęd energię gwiazd. W tych badaniach mocno zdystansowali Zachód. Jeżeli zdołają zrealizować wyniki badań, świat znajdzie się pod komunistyczną dominacją.

— A Craig uważa, że moja teoria może odwrócić role i pozbawić ich tej przewagi?

Chavasse przytaknął.

— Nie jestem naukowcem, ale rozumiem, że gdyby udało się znaleźć zastosowanie pańskiej teorii w praktyce, to moglibyśmy budować statki kosmiczne czerpiące energię z kosmosu jako takiego, czyli z tych sił, które nim powodują. Czy tak?

Uczony poważnie skinął głową.

— Redukcja masy umożliwiłaby osiągnięcie takich prędkości, o których nigdy nam się nie śniło.

A to jest podstawowy warunek penetracji kosmosu.

Po chwili milczenia Chavasse podsumował:

— Teraz pan rozumie, dlaczego jest pan tak bardzo potrzebny po drugiej stronie Himalajów.

— Rzeczywiście. — Hoffner ciężko westchnął i wytrząsnął popiół z fajki. Zamyślony wpatrywał się w ogień, wreszcie spojrzał na swego gościa i uśmiechnął się. — Nie mam najmniejszego wyobrażenia, jak ma się pan zamiar do tego zabrać, młody człowieku, ale chciałbym wiedzieć, kiedy wyruszamy? — Nagle zmarszczył brwi.



— A co z Katią? Nie mogę jej tu pozostawić.

— Naprawdę sądzi pan, że chciałaby wyjechać? — zapytał zaskoczony Chavasse.

— Jest tylko biednym, politycznie ogłupiałym zwierzątkiem — westchnął Hoffner — i nie ma żadnej rodziny ani jakichkolwiek więzów, które łączyłyby ją z tym krajem czy z Rosją.

— To się może okazać nieco kłopotliwe — zastanawiał się Chavasse — ale pomyślę nad tym.

Jednakże, na Boga, niech pan jej nie mówi ani słowa. Tego, czego nie będzie wiedziała, nie wydrą z niej żadnymi torturami. Pełna konspiracja jest zawsze konieczna w takich sprawach jak ta, ze

względu na możliwość wyspy. Zresztą na razie nie musimy się śpieszyć. Do wyjazdu mamy jeszcze pięć okrągłych dni. Problem będzie polegał jedynie na tym jak wydostać pana z Changu w stepy.

Nagle Chavasse uświadomił sobie, że od kilku dobrych chwil czuje lekki powiew na prawym policzku. Odwrócił się i ujrzał Katię Stranow stojącą w otwartych drzwiach z tacą w ręku. Przyniosła gorące mleko.

Zastanawiał się, jak długo tam stała i, co ważniejsze, ile usłyszała z tego, co mówili. Nie dała tego poznać po sobie. Weszła i podała uczonemu kubek z mlekiem.

— Czas do łóżka, panie doktorze — powiedziała po rosyjsku spokojnym głosem. — To był bardzo pracowity dzień.

Hoffner upił łyk mleka i zrobił sztubacką minę.

— Widzisz, przyjacielu? Moje życie wróciło do punktu wyjścia. Jak jakiś uczeń muszę robić to, co mi każą.

— Jestem przekonany, że towarzyszka Stranow dobrze wie, jaki tryb życia jest dla pana wskazany — odparł Chavasse.

Katia spojrzała na niego z nieodgadzionym uśmiechem w oczach.

— Naturalnie, towarzyszu Kurbski. Wiem to bardzo dobrze.

Przez chwilę w jej oczach migotał jakiś dziwny błysk. Nie trwało to długo, ale agent Biura dowiedział się tego, o czym chciał wiedzieć, zanim dziewczyna odwróciła się i wyszła z salonu.

## 8. Śmierć sama wyznacza spotkania

W sypialni panowało przyjemne ciepło. Najwidoczniej ktoś rozkazał służbie napalić w piecu.

Chavasse umieścił naftową lampę na stole przy łóżku, otworzył drzwi i wyszedł na coś w rodzaju krużganka opasującego dom. Przez chwilę obserwował ogród.

Deszcz już nie padał, ale wiatr był wilgotny. Chavasse z przyjemnością wdychał świeże powietrze. Potem poczuł senność i postanowił pójść spać.

Kiedy zaczął się rozbierać, usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Po chwili wszedł do środka Hoffner. Na ramieniu trzymał męski szlafrok. Z uśmiechem położył go w nogach łóżka.

— Pomyślałem, że będzie pan potrzebował czegoś takiego. W jego głosie była jakaś niepokojąca nuta.

— Czy coś się stało? — zapytał Chavasse, zmarszczywszy brwi.

— Katia wie o wszystkim — westchnął w strapieniu uczony i przysiadł na łóżku.

Chavasse spokojnie zapalił papierosa.

— Lepiej, żeby pan powiedział mi więcej o swoim spostrzeżeniu.

— To proste. Usłyszała więcej z naszej rozmowy, niż sądziliśmy. Nie mówiłem panu, ale ona zna bardzo dobrze angielski i jest nieprzeciętnie inteligentna. Przyszła do mnie po pana wyjściu.

Prosiła, żebym jej powiedział, co tu się dzieje i kim pan naprawdę jest.

— I co pan na to?

— No cóż? — Uczony wzruszył ramionami — Powiedziałem jej, że jestem starym, zmęczonym człowiekiem, który chciałby umrzeć wśród przyjaciół i że to właśnie oni wysłali pana, aby mi pomógł wyjechać z Tybetu.

— I nic więcej?

— Nie. W takiej sytuacji uznałem za właściwe powiedzieć tylko tyle.

— Słusznie — zgodził się Chavasse. — Jest mimo wszystko radziecką obywatelką. Pomaga panu w domowych sprawach, ale pomoc w ucieczce z Tybetu, która w konsekwencji ma doprowadzić do przegranej jej rodzinnego kraju, to co innego. Musiałaby dokonać trudnego wyboru. W każdym razie, jak już przedtem mówiłem, im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

— Racja — odparł Hoffner — ale myślę, że nie ma powodu do zmartwienia. Ona zupełnie nie interesuje się polityką. Nawet nie wstąpiła do partii.

— Jeżeli będzie jakaś wpadka i spece chińskiego wywiadu dostaną ją w łapy, to będzie tym, czym sobie zażyczą — oświadczył ponuro Chavasse.

— Muszę się z panem zgodzić. — Hoffner wstał. — Dobrze byłoby, żeby rano porozmawiał

pan z nią sam. Jest święcie przekonana, że ta podróż to po prostu samobójstwo. Uważa, że moje serce tego nie wytrzyma.

— Porozmawiam — przyrzekł Chavasse. — Życzę dobrej nocy. Niech pan się niczym nie martwi. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję to panu.

Drzwi zamknęły się cicho za starym człowiekiem. Chavasse stał przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się nad nieoczekiwanym obrotem sprawy, a potem senność pozwoliła mu zapomnieć o niebezpieczeństwie. Ledwie zdążył zrzucić ubranie i wpakować się do łóżka. Zdmuchnął lampę i jeszcze przez chwilę obserwował grę świateł i cieni na suficie, czując, jak rozluźniają się jego zmęczone, obolałe mięśnie. Po chwili spał jak zabity.

Nie był całkiem pewien, czy już się obudził. Wiedział, gdzie leży i czuł, że ogień w piecu wygasł, ale mógł być to równie dobrze zwodniczy sen. Podniósł do oczu przegub ręki, aby spojrzeć na fluoryzujące wskazówki zegarka. Było kilka minut po drugiej, zatem nie spał więcej niż cztery godziny, a mimo to był całkiem wypoczęty.

Poczuł, że powietrze jest dziwnie naelektryzowane i wypełnione energią, jakby wszystko wokół żyło jakimś własnym życiem, czekając na coś, co musi się zdarzyć.

Gdzieś w oddali groźnie zamruczał grom. Chavasse, w ułamku sekundy, zobaczył w świetle błyskawicy wewnątrz pokoju.

Usiadł, dotknął nogami podłogi, a następnie wstał i zakładając szlafrok podszedł do okna. Otworzył drzwi, wychylił się na krużganek i w tej samej chwili lunął ulewny deszcz, napełniając nocne powietrze gwałtownym szumem.

Było cholernie zimno, ale jeszcze przez chwilę stał nieruchomo w otwartych drzwiach, wdychając głęboko w płuca cudowne powietrze. Wypełniało go osobliwe uczucie wewnętrznego niepokoju. Nagle tuż obok rozległ się cichy głos:

— Nocne powietrze na tej wysokości nie jest zbyt bezpieczne dla cudzoziemców, panie Chavasse.

Trzeźwiejąc w mgnieniu oka, powoli się odwrócił. To Katia Stranow popisywała się niezłą angielszczyzną, stojąc parę metrów dalej tuż przy balustradzie krużganka. Kiedy następna błyskawica rozdarła ciemne niebo, jej twarz wynurzyła się z cienia. Wysoko uniesione kości policzkowe podkreślały głębię czarnych oczu. Włosy zdawały się płynąć ku jej ramionom.

Nagle z pewnego rodzaju zdumieniem uświadomił sobie, jak bardzo piękna jest ta dziewczyna.

Wprawdzie od pierwszej chwili wiedział, że jest bardzo ładna i atrakcyjna, ale w tym momencie, w ułamku sekundy zrozumiał coś więcej.

Otoczała ją jakaś aura niewinności, którą rozpaczliwie usiłowała pogodzić z brutalnością realiów życia. A to obudziło w nim bolesne wspomnienie całkiem innej dziewczyny w innym czasie i miejscu.

— Nie może pani spać? — zapytał.

— To chyba dlatego, że za dużo myślę.

— Wobec tego najlepiej będzie, jeżeli wejdziemy do mnie i przedyskutujemy wszystko od razu

— oświadczył bez wahania. — Ogień już wygasł, ale w pokoju jest jeszcze przyjemnie ciepło.

Podążyła za nim bez słowa. Weszli do środka, a on starannie zamknął za nimi drzwi. Kiedy obejrzał się na dziewczynę, podkładała drwa do pieca, rozniecając w nim na nowo ogień.

Usiadła na dywanie i wyciągnęła ręce ku palenisku, aby je ogrzać, a on przysunął sobie krzesło.

— Widziałam, jak wieczorem doktor Hoffner wychodził z pana pokoju. Domyślam się, że powiedział panu o naszej rozmowie — odezwała się, nie patrząc na mężczyznę.

— Na temat tego, co pani podsłuchiwała, gdy rozmawiałem z nim po kolacji?

Odwróciła szybko głowę, ale zdążył zauważyć iskry w jej oczach.

— Wcale mi nie wstyd, że podsłuchiwałam. To stary, chory człowiek, i nie ma nikogo poza mną.

W jej głosie brzmiała tak wielka determinacja, że Chavasse doszedł do wniosku, iż powoduje nią siła większa od tej, której się spodziewał. Uśmiechnął się więc i podniósł w górę obie ręce na znak, że się poddaje.

— W porządku, jestem po tej samej stronie.

— Przepraszam — powiedziała nagle całkiem przyjaźnie — ale on zastąpił mi ojca. To cudowny, starszy pan. Chcę dla niego tego, co najlepsze.

— Więc jak dotychczas mamy te same motywy.

— Czyżby? — zapytała. — Uważa pan, że starszy człowiek, grubo po siedemdziesiątce, do tego chory na serce, ma choćby najmniejszą szansę wytrzymania takiej podróży, jaką pan dla niego wymyślił?

— Oczywiście, pod warunkiem, że wszystko przebiegać będzie zgodnie z założeniami — odparł Chavasse.

— Ale on naprawdę jest bardzo chory — upierała się. — Czy pan jest w stanie wyobrazić go sobie na końskim grzbiecie, przemierzającego niebotyczne góry w najdzikszym kraju pod słońcem?

— Być może nie będzie musiał podróżować w ten sposób.

— Obawiam się, że nie rozumiem — zmarszczyła brwi.

— I nie musi pani. Doktor Hoffner też nie wie nic na ten temat. — Pochylił się do przodu z uśmiechem. — Zajmę się szczegółami, więc niech się pani odpręży. Przyrzekam, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Potrząsnęła głową, nieprzekonana.

— Panu wszystko wydaje się tak łatwe, jak mojemu ojcu. Jeżeli coś postanowił, to tak właśnie musiało być.

— Bardzo dobry sposób na życie.

— Tak pan uważa? — westchnęła. — Powiedział, że najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy do Lhasy karawaną. **Że** to nic trudnego i **że** to będzie podróż jego życia. W swoich planach nie wziął pod uwagę możliwości zarażenia się tyfusem. I umarł.

— A jakże mógł przewidzieć coś takiego? — zauważył łagodnie Chavasse. — Przecież śmierć ma ten przykry zwyczaj, że sama wyznacza nam spotkanie.

Po krótkiej chwili milczenia Chavasse wyjął papierosy i poczęstował nimi dziewczynę. Wzięła jednego bez wahania, a on podał jej ogień.

— Ten prawdziwy Kurbski nie żyje, prawda?

— Niestety — schylił głowę ze smutkiem.

— Czy to pan go zabił?

— Naprawdę zaatakowali go partyzanci. Zabili go razem z jego chińską eskortą, ponieważ

Rosjan uważają, na równi z Chińczykami, za swych wrogów.

— Rozumiem — odparła. — Więc pan po prostu przejął jego dokumenty? A czy ci partyzanci byli... pańskimi przyjaciółmi?

— To zależy od tego, kogo uważa się za przyjaciół — wzruszył ramionami. — Jeżeli wydaje się pani, że mogłem uratować Kurbskiemu życie, to się pani myli. Nie mam na nich takiego wpływu.

— A ten Tybetańczyk, który przybył razem z panem? Zdaje się, że nazywa się Joro. Czy nie mógł mu pomóc?

— Słuchaj, dziewczyno. Twoje myśli podążają niewłaściwym torem. Jeśli chodzi o tych ludzi, to dla nich trwa wojna. Oni walczą przeciwko brutalnym najeźdźcom, którzy chcą siłą całkowicie zmienić sposób, w jaki żyli od setek lat, którzy niszczą ich unikalną kulturę i zabijają ich rodaków.

— Proszę nie mówić do mnie jak do dziecka! — zawołała oburzona. — Doskonale wiem, że

Chińczycy robili tu czasami różne okropne rzeczy, ale te wszystkie morderstwa i ten cały przelew krwi — wstrząsnęła się — ta łatwość, z jaką szasta się ludzkim życiem.

— Racja — odparł — ale pamiętajmy, co powiedział Lenin: „Odpowiedzią na terror jest terror”.

Jest to jedyny sposób, w jaki niewielki naród może walczyć przeciwko imperium.

— Mój ojciec mówił, że żaden człowiek nie może przywłaszczać sobie boskich praw — odparła

— a już najmniej Lenin. Obawiam się, że mój ojciec miał go po prostu w nosie.

— Wygląda na to, że bardzo przypadłby mi do gustu — oświadczył, szczerze zdziwiony, Chavasse.

— Niech mi pani o nim opowie.

— Teraz wydaje się, że jest tak niewiele do powiedzenia — wzruszyła ramionami. — Jak pan wie, był akademikiem. W ogóle nie interesował się polityką czy rządem. Zajął się archeologią, ponieważ jest to dziedzina, w którą nie wtykają nosa. Żyliśmy swoim własnym życiem

— A matka?

— Umarła, wydając mnie na świat. Dzieciństwo spędziłam w Moskwie u jednej z ciotek mojego

ojca. Tam chodziłam do szkoły. Kiedy trochę podrosłam, zabierał mnie na ekspedycje. Przez ostatnie trzy lata jego życia mieszkaliśmy stale w Pekinie.

— Dlaczego tak bardzo zależało mu na odwiedzeniu Lhasy?

— Sama nie wiem. Była od dawna jego marzeniem. Chciał koniecznie odwiedzić ją przed powrotem do domu.

— A czy nie myślała pani o powrocie?

— Nie bardzo — odparła. — Trochę mi szkoda teatrów, książek, różnych takich przyjemności, ale ciotka umarła także i nie mam właściwie nikogo bliskiego...

— Z wyjątkiem doktora Hoffnera w Tybecie — dokończył miękko Chavasse.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się ciepło.

— To prawda. Z wyjątkiem doktora. Przyjął mnie do siebie, kiedy byłam chora, samotna i zrozpaczona. Przywrócił do życia. Zrobił dla mnie bardzo wiele.

On myśli o pani w ten sam sposób — zauważył Chavasse. — Czy powiedział, że chce koniecznie zabrać panią ze sobą?

— Chciałabym, żeby pan uwierzył, że niczego nie pragnę bardziej, niż być przy nim. Ale to wszystko wydaje mi się zupełnie niewykonalne.

— A pani musi mi uwierzyć, że to jest wykonalne. Ta podróż jest całkiem bezpieczna — przekonywał ją Chavasse. Ale proszę na razie o tym w ogóle nie myśleć. Lepiej zastanówmy się, jak spędzić tych kilka dni, które nas dzielą od wyjazdu.

— Rozumiem — podniosła się — że mamy cierpliwie czekać, aż zechce nas pan łaskawie wtajemniczyć w swoje plany.

Jej oświadczenie wygłoszone było w tonie nieco nerwowym, więc Chavasse wstał także i uśmiechnął się.

— Nie podchodzimy do tego w ten sam sposób. Chodzi o to, żeby się wam nie stała jakaś

krzywda. Dopóki nic nie wiesz, nie jesteś winna. — Położył rękę na jej ramieniu. — Naprawdę,

teraz jedynym problemem jest właśnie to, jak spędzić czas, który nam pozostał. Co robisz, kiedy masz ochotę trochę się rozerwać?

— Nic szczególnego — wzruszyła ramionami. — Jeżeli pogoda jest odpowiednia, jeżdżę czasem konno za murami miasta.

— No proszę! To właśnie coś, za czym przepadam. Nagle rozluźniła się i uśmiechnęła.

— No to może chciałby pan mi towarzyszyć? Może zaraz po śniadaniu... to znaczy po lunchu?

Czy dobrze jeździ pan konno?

— Nieźle — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To jedna z moich mocnych stron.

— Słyszałam, że ma pan ich wiele. — Pochyliła głowę z powagą. — Sądzę, że niewiele osób potrafi mówić tak dobrze po chińsku i jednocześnie po rosyjsku jak rodowity moskwianin.

— A ty? — odparł Chavasse. — Przecież znasz te dwa języki jak własne, a w dodatku mówisz świetnie po angielsku?

— Zaczęłam się uczyć angielskiego, kiedy miałam sześć lat. Obecnie jest to obowiązkowy język we wszystkich szkołach w Rosji. Ale z panem to inna sprawa. Wyczuwam tu coś szczególnego. Jestem absolutnie pewna, że jest pan kimś więcej, niż tylko zwykłym poszukiwaczem przygód.

— Ależ zapewniam cię, że się mylisz. Jestem awanturnikiem, i tyle. Potrząsnęła uparcie głową.

— Nie wierzę. Coś się za tym wszystkim kryje.

Nagle olśniła ją jakaś myśl i jej źrenice rozszerzyły się. Podeszła do niego i jedną ręką złapała za klapę jego szlafroka.

— *Jest* coś więcej, prawda? Coś, co ma związek z doktorem?

Nie miał wyjścia. Mógł zrobić tylko jedno. Objął dziewczynę w pasie i pocałował w usta.

Całe jej ciało jakby ożyło nagle wewnątrz. Zadrżała. Przez chwilę trzymał ją jeszcze w ramionach, a potem lekko odepchnęła go od siebie.

Kiedy spojrzała na niego, jej oczy były ciemne i zakłopotane, a twarz oblana rumieńcem.

— Lepiej już pójdę — powiedziała.

Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, więc tylko otworzył drzwi i przepuścił Katię przed sobą. Ciągle padał ulewny deszcz. Odwróciła się i popatrzyła na niego, a potem całkiem nieoczekiwanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. I zaraz wyszła.

Chavasse stał przez chwilę, zaskoczony, drżąc z podniecenia, czując lekki powiew wiatru na obnażonym torsie. Wreszcie zamknął drzwi i poszedł spać.



## 9. Sprawa życia i śmierci

Dzień był pogodny, a powietrze odświeżało, jak łyk dobrej brandy z lodem. Dopiero co minęło południe, kiedy wyjeżdżali konno za główną bramę miasta. Błękitne niebo aż po horyzont rozciągało się czyste i bezchmurne.

Dosiadali małych, pełnych wigoru tybetańskich koników. Katia ponagliła swego wierzchowca do galopu i szybko wysforowała się naprzód. Ubrała się w bryczesy i zgrabne, rosyjskie buty do konnej jazdy, włożyła też kapelusz i kurtkę z czarnego astrachańskiego sukna.

Natomiast Chavasse wdział tybetańskie juchtowe buty i chałat, w którym przybył do Changu.

Pogalopował za dziewczyną, rozpraszając po drodze stado jaków, pasących się pod murami miasta.

Szafranowo-żółty step nabierał w słońcu blasku złota. Chavasse ściągnął cugle, gdy mijał oczko kryształowo czystej wody, gromadzącej się u stóp wysokich skał. Wiatr cicho szemrał, poruszając suche trawy. Ponad zboczem z głośnym krzykiem przeleciał spłoszony ptak i Chavasse poczuł, jak ogarnia go nagle niewytłumaczalny smutek.

Zadrżał na całym ciele, lecz w tym momencie wiatr przyniósł głos Katii. Wołała go z przeciwnego pagórka, więc ponaglił konia i pogalopował ku niej.

Tu i ówdzie wznosiły się nad ziemią smugi lekkiej mgiełki, utrudniającej prawidłową ocenę odległości. Wiatr zmienił w nocy kierunek i teraz pieścił jego twarz ciepłymi podmuchami. Chavasse zatrzymał się na wierzchołku pagórka. Zobaczył rzekę, płynącą meandrami w głębokiej rozpadlinie,

i Katię, stojącą na "skraju urwiska.

Pogalopował w dół zbocza, zsiadł z konia i klepnąwszy go po zadzie, puścił wolno. Zatrzymał się na chwilę, aby zapalić papierosa. Gdy podniósł wzrok Katia już zawróciła w jego kierunku.

Szła do niego przez suche trawy, a słońce, oświetlając ją od tyłu złotym blaskiem, zacierało kontury i sprawiało, że wydawała się nierealna, eteryczna i niebiańska. Jak jakieś ulotne zjawisko, które w każdej chwili mogło się rozwiać jak mgła. Ale gdy przemówiła, to dziwne wrażenie znikło.

— Usiądźmy, Paul.

Rozłożyli się wygodnie na krótkiej, sprężystej trawie. Po chwili zamknął oczy i z wolna odprężył

się po wysiłku konnej jazdy. Było naprawdę bardzo przyjemnie leżeć tak na słońcu w miłym towarzystwie i nic nie robić.

Zdecydował, że trzeba jednak pogadać z Katią. Otworzył oczy, bo nagle coś połaskotało go w nos. Było to źdźbło trawy w drobnej rączce dziewczyny.

— Wyobraź sobie, że od lat nie wypoczywałem na łonie natury — powiedział.

— A powinieneś. Przecież masz tylko jedno życie.

— Racja — zgodził się. — Kłopot w tym, że odnoszę wrażenie, jakbym nigdy nie miał czasu.

Przypuszczam, że to jakaś skaza w mojej osobowości pcha mnie ciągle to tu, to tam.

— Nie wierzę — zachnęła się. — Czy czułeś to samo, będąc chłopcem?

Zmarszczył brwi i mrużąc oczy, starał się zmierzyć wzrokiem nieskończoną głębię nieba.

— Nie bardzo pamiętam. Mój ojciec był Francuzem, a matka Angielką. Zginął pod Arras w

1940, kiedy to pancerne hordy hitlerowców rozcięły Belgię i Francję jak nóż rozcina masło. Wkrótce potem matka ewakuowała się ze mną, uczeponym jej spódnicy, spod Dunkierki.

— Pewnie ją bardzo kochasz?

— Skąd wiesz? — zapytał zdziwiony.

— Bo kiedy mówisz o matce, zmienia ci się głos — odparła. — A co się działo po przyjeździe do Anglii?

Spostrzegł, że otwiera się jak nigdy przedtem, przed nikim. Zagłębił się myślami w przeszłości i na wpół zapomniane zdarzenia ponownie stanęły mu przed oczyma.

Opowieść o przebytej drodze, aż do tych dwóch lat, które przepracował jako wykładowca na uniwersytecie w Manningham, zajęła mu prawie godzinę.

Kiedy przerwał na chwilę, spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

— Jest coś, czego nie rozumiem. Miałeś, co chciałeś, a w perspektywie akademicką karierę.

Dlaczego rzuciłeś to wszystko?

— Zmieniłem chyba pogląd na życie — odparł. — Pewnego słonecznego lata, podczas wakacji, dopomogłem jednemu z moich przyjaciół w wydostaniu z za żelaznej kurtyny, z Czechosłowacji,

kogoś z jego rodziny. I doszedłem do wniosku, że ta przygoda sprawiła mi wielką przyjemność.

Westchnęła i pokiwała głową, jakby był małym chłopcem, któremu musi wytknąć niemądre postępowanie.

— I dlatego zdecydowałeś, że będziesz to robił stale?

— Mogę się pochwalić, że jestem ekspertem w tej dziedzinie. W zeszłym roku brałem udział w zorganizowaniu ucieczki Dalaj Lamy do Indii.

— A co na to twoja matka? Uśmiechnął się lekko.

— Jest przekonana, że jestem po prostu urzędnikiem państwowym. Po trosze zresztą nim jestem.

— Odpowiada ci takie życie? — Katia patrzyła na niego zakłopotana. — Przecież nieustannie ryzykujesz! Kładziesz głowę pod topór i nie wiesz, kiedy on spadnie.

— Eee... Nie zawsze są to specjalnie ryzykowne zadania — odparł. — Praca dla mego Biura jest bardzo różna. Od takich zadań jak to, po ochronę towarzysza Chruszczowa, aby włos nie spadł z jego głowy podczas wizyty w Londynie. Czy taką pracę aprobujesz?

— Sprawa nie polega na tym, czy się takie zajęcie pochwała, czy nie — odparła szybko. — Z pracy dla rządu czy polityków nic nie powstaje. Z mojego punktu widzenia największym nie-szczęściem, jakie może spotkać człowieka, jest zmarnowanie talentów czy zdolności.

Przymknął oczy, przypominając sobie, że kiedyś ktoś bardzo mu drogi przemawiał do niego w ten sam sposób. Katia mówiła dalej. Jej głos wznosił się i opadał, aż wreszcie Chavasse odniósł wrażenie, że zlał się z szumem trawy, wtopił w dziki, piękny krajobraz i stał się jego częścią.

Otworzył oczy. Ponad jego głową przepływały chmury, zapowiadające zmianę pogody. Był sam.

Zerwał się i począł wypatrywać Katii.

Nigdzie jej nie było, więc trochę się przestraszył. Rzucił się prawie biegiem na krawędź urwiska.

Stała tuż nad rzeką, ciskając w jej nurty kamienie. Kiedy schodził do niej, krusząc skałki podeszwami butów, przerwała zabawę i odwróciła głowę.

— Opuściłaś mnie — oświadczył. — Kiedy się obudziłem, nie było cię już przy mnie. Znikłaś jak tatarska księżniczka z bajki.

Zeskoczyła z głazu i zachwiała się niebezpiecznie. W jednej chwili był przy niej i chwycił ją mocno.

— Nic ci się nie stało?

— Och, Paul. Jakżebym chciała, żeby to wszystko było bajką— szepnęła. — Żeby czas stanął w miejscu i żebyśmy mogli być na zawsze razem.

W jej głosie było tyle wzruszenia i głębi, że Chavasse poczuł ucisk w krtani. Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem delikatnie pocałował w usta. Przywarła do niego całym ciałem i nagle poczuł, że ziemia poruszyła się wokół. Potem dziewczyna uwolniła się z jego objęć i poszła ścieżką ku górze.

Kiedy dotarł na szczyt urwiska, siedziała już w siodle. Pogalopowała, nie patrząc za siebie. Sporo czasu zabrało mu schwytnie swego konia.

Słońce przesłoniły gnane wiatrem chmury i szeroka smuga cienia zaczęła przesuwać się przez step. Zobaczył Katię cwałującą w tamtą stronę i ponaglił wierzchowca, ponieważ jakiś irracjonalny impuls nakazywał mu zrównać się z nią, zanim ogarnie ją ta ciemna smuga.

Jednakże był oddalony jeszcze ze trzydzieści do czterdziestu metrów, kiedy Katia wjechała w mrok. Wstrzymał konia. Po chwili i jego objął ten ponury cień. Poczł nagły chłód i jakiś niewytłumaczalny lęk zmroził jego serce lodowatymi palcami.

Przez chwilę przysłuchiwał się cichnącemu w oddali tętentowi kopyt jej konia. Wkrótce zniknęła za kolejnym wzniesieniem. Wtedy ponownie popuścił wodze i pogalopował w stronę miasta.

We wrotach domu przywitał go zafrasowany Joro. Kiedy Chavasse zsiadł z konia i oddał mu wodze, Tybetańczyk oznajmił, że pytał o niego kapitan Tsen.

— O co mu chodzi?

— Otrzymał z Lhasy jakąś informację — odparł Joro. — Przepytawał mnie przez pół godziny.

Powiedziałem mu, że obozowaliśmy niedaleko Rudok i tam nas zaatakowano. I że ciała tych dwóch żołnierzy wrzucono do jakiejś dziury.

— Całkiem dobrze to wymyśliłeś — oświadczył Chavasse. — A gdzie on jest teraz?

— W domu. Właśnie miał wychodzić, kiedy przyjechała ta Stranow. Czy pokłóciliście się?

— Nie. Ścigaliśmy się w powrotnej drodze, ale mój konik niósł zbyt duży ciężar — odparł Cha-

vasse i zapalił papierosa. — Jak dotąd wszystko idzie gładko — dodał szybko. — Oboje z doktorem zgadzają się opuścić Tybet.

Joro zmarszczył brwi.

— Naprawdę uważa pan, że można jej ufać?

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich kapitan Tsen, a za nim Katia.

— Wkrótce się przekonamy — powiedział Chavasse i poszedł w ich stronę.

Katia wydawała się całkiem spokojna i odprężona, a kapitan uśmiechał się grzecznie.

— Jak się udała przejażdżka, towarzyszu? — zapytał.

— W tak czarującym towarzystwie? Oczywiście, że było wspaniale. — Chavasse zwrócił się następnie do Katii: — Nie nadażyłem za wami, ponieważ mój wierzchowiec miał mnie najwyraźniej dosyć.

— Może następnym razem znajdziemy dla was silniejszego konia. — odparła. — Zdaje mi się, że kapitan Tsen chciałby zamienić z wami kilka słów.

— Ależ nie ma pośpiechu. — Tsen podniósł ręce do góry. — Chciałbym tylko, żebyście mi, towarzyszu, jeszcze raz opowiedzieli dokładnie, co się zdarzyło. Lhasa domaga się szczegółów. Gdy na was czekałem, nasz Dobry Lekarz zaprosił mnie na kolację. Być może zatem mogliśmy porozmawiać o tym dzisiaj wieczorem?

— Proszę bardzo — zgodził się Chavasse.

— A zatem do zobaczenia — uśmiechnął się Chińczyk. Zasalutował Katii i trzasnąwszy obcasami jak pruski żołdak, poszedł przez podwórze do wyjścia.

— Przepraszam, że nie dotrzymam wam towarzystwa, ale muszę dopilnować przygotowań do kolacji.

Katia powiedziała to bardzo oficjalnym, nieomal zimnym tonem i zanim Chavasse zdołał cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się i znikła wewnątrz domu. Anglik stał jeszcze przez chwilę, marszcząc brwi, a potem podążył za nią.

Hoffner był w bibliotece. Siedział na wprost ognia płonącego na kominku z książką na kolanach i popijał herbatę z porcelanowej filiżanki.

— Jak się udała przejażdżka? — zapytał. Chavasse zbliżył ręce do ognia.

— Było oczywiście przyjemnie, ale krajobraz jest nieco monotony. Myślę, że nie mógłbym zamieszkać w Changu na dłużej.

— Bywa tu czasami naprawdę pięknie — odparł Hoffner. — Czy widział się pan z kapitanem?

— Spotkałem go po drodze. Rozmawiał przedtem z Jorem. Na razie chyba nie ma czym się przejmować. Chce tylko wysłać do Lhasy formalny raport. Zaproponował mi, żebyśmy po kolacji porozmawiali o tym, co się stało.

— Katia wydała mi się bardzo poruszona, kiedy tu przygalopowała — zasugerował uczony. — Doszedłem do wniosku, że pewnie pan z nią szczerze porozmawiał?

Chavasse usiadł naprzeciw uczonemu i nalał sobie herbaty.

— Nie jest zachwycona całym przedsięwzięciem, ale zdecydowała się nam towarzyszyć.

— Rozumiem, że nie mówił jej pan o prawdziwych powodach mej decyzji opuszczenia Tybetu?

— Nie ma potrzeby — odparł Chavasse. — Powody, które pan przedstawił, są zupełnie logiczne. — Zawahał się, a potem mówił dalej: — Skoro już o tym mówimy, panie doktorze. Gdyby sprawa

przybrała zły obrót i Chińczycy pana przepytawali, niech im pan powie to samo, co Katii: że jest pan tylko starym, chorym człowiekiem, który chciałby umrzeć w swoim kraju. Prawda zawarta w takim oświadczeniu jest bardzo przekonująca. Powinni zadowolić się tym.

— Mam całkowitą pewność, że wszystko pójdzie dobrze. — Doktor Hoffner uśmiechnął się ciepło.

W tej samej chwili usłyszeli odgłos auta hamującego pod drzwiami domu. Hoffner zmarszczył brwi i odstawił filiżankę.

— Któż to może być?

Chavasse zerwał się na równe nogi. Do pokoju wpadła Katia, blada jak papier. Jej czarne oczy powleczone były cieniem.

— Pułkownik Li — powiedziała szybko po rosyjsku.

Chavasse uświadomił sobie bladość jej twarzy i posłał dziewczynie przelotny, porozumiewaw-

czy uśmiech. Poczul jednak zimny dreszcz, ostrzegający go o niebezpieczeństwie. Skoncentrował się i podniósł do ust filiżankę.

— Co za niespodziewana przyjemność — stwierdził spokojnie.

W holu rozległy się szybkie kroki i ktoś zatrzymał się pod drzwiami. Zapukał i wszedł. Był to mężczyzna mniej więcej tego samego wzrostu co Chavasse, ubrany w idealnie dopasowany do smukłej sylwetki mundur. Jego ramiona okrywał elegancki płaszcz koloru khaki, z futrzanym kołnierzem. W urękawiczonych dłoniach trzymał szpicrutę. Dotknął nią — w geście powitania — daszka wojskowej czapki.

— Jak to dobrze widzieć pana w dobrym zdrowiu, doktorze — uśmiechnął się.

Mówił po chińsku miłym, głębokim głosem i od pierwszego wejrzenia widać było, że płynie w nim odrobina europejskiej krwi. Jego oczy były nieco skośne, ale patrzyły otwarcie w brązowej, opalonej twarzy, nos miał prosty, a ładnie wykrojone usta świadczyły o wrodzonej dobroduszości i humorze.

— Nie spodziewaliśmy się pana przed końcem tygodnia, pułkowniku — odparł spokojnie Hoffner.

— Tak wypadło, jak mówią Anglicy — oznajmił pułkownik, odwracając się do Katii. — Ale ty jesteś piękna, jak zwykle — dodał i pocałował ją w rękę.

Zdołała się uśmiechnąć.

— Mamy całkiem niespodziewanego gościa. Niech mi pan pozwoli przedstawić sobie towarzysza Kurbskiego, korespondenta zagranicznego moskiewskiej „Prawdy”. Przybył, aby zrobić wywiad z doktorem.

Pułkownik odwrócił się do Chavasse'a, który wyciągnął do niego rękę, mówiąc:

— Miło mi, pułkowniku.

Li uśmiechnął się dobrodusznie i potrząsnął jego dłonią.

— Tylko, że ja już miałem przyjemność poznać towarzysza Kurbskiego — oświadczył.

Nastąpiła chwila ciszy, w której cały świat zdawał się wstrzymać oddech.

— Nie rozumiem — powiedział Chavasse ostrożnie.

— Ależ musicie pamiętać, drogi towarzyszu. — Usta pułkownika Li wykrzywiły się w jeszcze szerszym uśmiechu. — Przecież cztery noce temu byliśmy razem w Rangongu. Mieszkaliśmy w jednej gospodzie. Wstrętna dziura, no nie?

Chavasse wykonał szybki krok do przodu, kopnięciem podciął pułkownikowi nogi, jednocześnie mocnym ciosem przerzucając go przez krzesło Hoffnera.

Wybiegł do holu, wyciągając mauzera. Nie czas myśleć o Katii i starym uczonym. Była to już sprawa życia i śmierci. A w życiu, jak i na wojnie, wygrywa ten, kto umie działać szybko i z zaskoczenia.

Jakiś dzip stał zaparkowany przy schodach domu. Czterech żołnierzy gawędziło przy nim bez troski. Spojrzeli na niego zaskoczeni, więc cofnął się do holu.

Pułkownik pojawił się w drzwiach biblioteki z automatem w ręku. Chavasse podniósł mauzera i nacisnął spust. Bez skutku. Spróbował jeszcze raz, a potem rzucił bezużyteczną bronią w pułkownika. Przeskoczył przez parapet i znalazł się na podwórzu.

Wylądował fatalnie, tracąc równowagę, a podnosząc się poczuł nagły ból w kostce. Zazgrzytał zębami i pobiegł do bramy.

W ślad za nim zastukały buty żołnierzy. Usłyszał, jak pułkownik Li woła, żeby nie strzelali.

Był niecały metr od wyjścia, kiedy ktoś podciął mu nogi. Runął na ziemię, instynktownie zasłaniając twarz rękoma i przekręcając się, aby uniknąć kopnięć. Ale już czyjaś noga dosięgła jego boku, a kolejny cios trafił go w twarz. Zdołał jednak podnieść się na nogi i stanąć plecami do muru.

W ułamku sekundy pochwycił przerażone spojrzenie Katii Stranow, stojącej w otwartych drzwiach domu wraz z Hoffnerem. Zaraz potem czterech żołnierzy ruszyło na niego. Jeden z nich uniósł wysoko wojskową pałkę i wymierzył cios w głowę. Chavasse uchylił się, a kiedy pałka uderzyła w mur, kopnął napastnika w krocze. Pałka upadła na ziemię, a żołnierz zemdlał.

Trzech pozostałych zawahało się, a następnie jeden z nich nasadził na karabin bagnet i ruszył do przodu. Przez podwórze pędził pułkownik Li krzycząc: — Nie! Chcę go żywego!

Chavasse przyklęknął i podniósłszy pałkę, trzasnął nią w ramię żołnierza. Kość pękła jak sucha gałąź, a Chińczyk zawył z bólu, wypuszczając bagnet z bezwładnej dłoni. Kiedy Chavasse podnosił się z klęczek, dopadło go dwu pozostałych. Pierwszy zdołał kopnąć go w zębra. Agent Biura padł



pod murem, ale nie poddając się schwycił żołnierza za nogę. Przez chwilę walczyli zaciekle, przetańczając się po ziemi. Kiedy Anglik znalazł się na wierzchu, pułkownik Li, który właśnie nadbiegł, podniósł pałkę i zadał mu od tyłu tylko jedno celne uderzenie w kark.

## 10. Plac w Sela

Potykający się na końcu kolumny Chavasse przedstawiał sobą żaloszny widok. Jego oczy wpadły w głębokie ciemne oczodoły, brodę miał brudną i zmierzwioną, a wychudzone ciało okrywał stary, zawszony serdak.

Obie ręce jeńca związane z przodu i podwiązano do długiej liny przymocowanej do siodła strażnika.

Upadał ze znużenia. Deszcz przemoczył go do suchej nitki, a wiatr był lodowato zimny. Nie jadł od tak dawna. Zwolnił nieco, ale natychmiast strażnik szarpnął za sznur i agent Biura upadł twarzą w błoto.

Chińczyk, wściekły, wrzasnął coś w swym języku, więc Chavasse podniósł się z wysiłkiem i pokuśtykał przed siebie.

— Dobra, skurwielu! — krzyknął po angielsku. — Nie gorączkuj się tak!

Widział pułkownika Li jadącego na przodzie kolumny złożonej z trzydziestu ludzi. Wszyscy dosiadali tybetańskich koników, ale przez plecy mieli przewieszane nowoczesne, automatyczne pistolety. I Chavasse znowu zadumał się nad tą niezwykłą koegzystencją tradycji i zaawansowanej techniki, tak typową dla komunistycznych Chin.

Pomimo że obszar nadzorowany przez pułkownika Li był bardzo rozległy, garnizon był wyposażony zaledwie w dwa dziipy i jedna ciężarówkę. Kiedy więc chiński komendant udawał się w głąb tego terytorium i ze względów bezpieczeństwa potrzebował silnej eskorty, wsadzał wszystkich swoich ludzi na konie.

Deszcz wzmagał się. Zimno przenikało Chavasse'a do szpiku kości. Szedł z coraz większym trudem. Ogarnęło go skrajnie przygnębienie. Jeszcze nigdy w życiu nie był w tak krytyczne i sytuacji.

Pułkownik nie miał pojęcia, jak bliski załamania był jego więzień. Europejczyk podniósł związane ręce, aby otrzeć twarz, i znowu się potknął.

Przez prawie trzy tygodnie bito go, poniewierano i poniżano na wszelkie możliwe sposoby. Noc po nocy dzwonek w celi ryczał, a czerwone światło migotało, pozbawiając go poczucia rzeczywistości. Nigdy nie było wiadomo, kiedy ponownie wezmą go na przesłuchanie.

Wszystko przebiegało według jakiegoś ustalonego planu, opartego na doskonałej znajomości psychologii i fizjologii. Tak eksperymentował kiedyś na psach akademik Pawłów, włączając dzwonek w trakcie posiłków. W podobny sposób, zmieniając ciągle następstwo wydarzeń, można do-

prowadzić ofiarę do kompletnego nerwowego załamania. Człowiek upadał nie tylko fizycznie, ale i moralnie. I dopiero wtedy zaczynał się proces powtórnych narodzin. Kiedy doprowadzono go do końca, Partia powiększała swoje szeregi o kolejnego lojalnego i oddanego *zombie* (\* Trup przywrócony do życia za pomocą praktyk czarnoksiężskich.) .

Chavasse zastanawiał się, co stało się z Katią, z doktorem Hoffnerem i oczywiście z Jorem. Jak dotąd pułkownik Li nie uczynił najmniejszej wzmianki o chłopcu, więc przynajmniej to napawało Chavasse'a jaką taką nadzieją.

Zacinający deszcz bezlitośnie ciął go po twarzy. Chavasse przestał wreszcie zwracać nań uwagę, wycofując się w głąb siebie, jakby do ostatniego szańca, gdzie już nikt nie mógł go dopaść. Był to sekretny sposób, który pozwolił mu przetrwać minione dwadzieścia jeden dni.

Przez chwilę pomyślał z żalem o celi. Było tam przynajmniej sucho i od czasu do czasu dawano mu jeść. Ale już po chwili wstrząsnął się na myśl o dwudziestoczterogodzinnym przesłuchaniu, które pewnego dnia zaaplikował mu Li wraz z kapitanem Tseneni oraz na wspomnienie pewnej nocy, kiedy to żołnierze osiem razy wyprowadzali go z celi. Zastanawiał się, dlaczego pułkownik zabrał go ze sobą w tę podróż. Podejrzewał jakiś nowy podstęp, jako że pod pozorami dobrych manier i dobroduszości krył się w Chińczyku złośliwy szatan.

Chavasse spróbował wyobrazić sobie, w jaki sposób go zabije. Takie rozmyślenia urozmaicały mu bezsenne noce, ale teraz był zbyt wyczerpany i zbyt zmarznięty, aby się skoncentrować na czymkolwiek.

Znowu się potknął i przewrócił, ale tym razem nie było gniewnego pociągnięcia za linę, gdyż cała kolumna przystanęła pod osłoną skalnego nawisu. Dalej widniała niewielka dolina, w której znajdowało się jakieś osiedle. W powietrzu unosił się zapach dymu.

Strażnik odwiązał linę od siodła i rzucił ją w błoto. Chavasse, nie zatrzymywany, odszedł w bok i usiadłszy pod skałą oparł głowę na kolanach.

Kamienie zachrzęściły pod obcasami butów. Potem do jego uszu dotarł głos pułkownika Li.

— Paul, mój drogi — powiedział po angielsku — wyglądasz okropnie. Chyba jesteś chory. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Sprawiał wrażenie naprawdę zatroskanego. Chavasse spojrział mu w oczy i powiedział leniwie:

— Rób co do ciebie należy.

Pułkownik zaśmiał się grzecznie, usiadł obok i nalał do plastikowego kubeczka gorącej herbaty.

Podał naczynie więźniowi.

— Napij się trochę, Paul.

Chavasse zastanawiał się chwilę, a potem porwał kubek, żeby pułkownik nie zdążył się rozmyślić i szybko go opróżnił.

Herbata była tak gorąca, że poparzył sobie gardło. Zakrztusił się i tracąc oddech, zaniósł kasz-lem. Chińczyk poklepał go po plecach, aby mu ulżyć.

— Zaraz poczujesz się lepiej.

Po chwili Chavasse uspokoił się i oddał mu kubek

— Ciekaw jestem, co kryje się za twoim uśmieszkiem — zagadnął. — Przypuszczam, że nie prowadzisz mnie tu, żebym się przewietrzył dla zdrowia.

— Dla zdrowia twojej duszy, Paul — odparł Li — dla dobra twojej nieśmiertelnej duszy.

— Oczywiście takiej, jak ją sobie wyobrażają komuniści.

Pułkownik uśmiechnął się słabo i zaczął umieszczać papierosa w cygarniczce.

— Wiesz dobrze, Paul, że bardzo cię polubiłem przez te trzy tygodnie. Jestem zdecydowany zrobić wszystko, abyś przeszedł na naszą stronę. Szkoda, byś się zmarnował.

— Prędeż cię diabli wezmą — stwierdził Chavasse.

— Nie sądzę. — Li potrząsnął z uporem głową. — Chyba zapomniałeś, że mam pewien irytujący nawyk: zawsze osiągam to, co chcę.

— Tylko ci się tak zdaje — odparł Chavasse.

— Ależ tak jest! Przypomnij sobie, jak na początku nie chciałeś mi powiedzieć, kim jesteś. Zdobyłem te dane od naszego wywiadu z Pekinu. Potem chciałem wiedzieć, po co tu przybyłeś...

— Chcesz się tego dowiedzieć od trzech tygodni — przerwał mu Chavasse. — Jak ci się wiedzie?

— Ależ wiem to od początku — zaśmiał się Li. — Katia powiedziała mi to jeszcze tamtego wieczoru. Zamierzałeś pomóc doktorowi Hoffnerowi wydostać się do Indii.

— Katia ci to powiedziała? — powtórzył tępo Chavasse.

— Naturalnie. To było bardzo proste. Natychmiast zrozumiałem, że musiałeś mieć jakiś powód, aby przybyć do domu doktora jako Kurbski. Poprosiłem naszego Dobrego Lekarza, żeby powiedział mi wszystko, co wie. Odmówił mi, ponieważ nie chciał cię skrzywdzić. Powiedziałem, że nasze wzajemne stosunki mogą ulec znacznemu pogorszeniu. Wtedy Katia natychmiast zdecydowała się wszystko opowiedzieć, aby oszczędzić staremu człowiekowi nieprzyjemności.

— Więc już wiesz — stwierdził Chavasse. — Cieszę się, że miała na tyle rozumu, aby ci o tym powiedzieć. Co z nimi zrobiłeś?

— Na razie pozostali nadal w domu Hoffnera w Changu. Ale obawiam się, że będę musiał wysłać ich do Lhasy, a stamtąd ostatecznie do Pekinu. Jednakże dopiero wtedy, kiedy cała sprawa wyjaśni się do końca.

— A cóż jeszcze chciałbyś wiedzieć? — zapytał Chavasse.

— Jest tego sporo. — Li wzruszył ramionami. — Jak przedostałeś się do Tybetu. Kto ci w tym pomagał, a także co się stało z Kurbskim i jego eskortą.

— Pytałeś mnie o to przez trzy tygodnie — odparł Chavasse — i dokąd cię to zaprowadziło? Czy nie zamierzasz dać za wygraną?

— Nie, mój drogi. Ja nigdy nie daję za wygraną! — Głos pułkownika stał się nagle lodowato zimny. — Po pierwsze, nie jestem takim głupcem, jak ci się wydaje. W tej sprawie coś mi śmierdzi. Więc chcę wiedzieć co.

— Równie dobrze możesz mnie zabić i wreszcie skończyć z tym wszystkim — zaśmiał się Cha-

vasse.

— Nie zrobię tego. Wierz mi, Paul. Zanim skończę z tobą, powiesz mi prawdę. Prawdę i tylko prawdę. I zrobisz to z własnej woli. Potem wyślę cię do Pekinu, gdzie, jak przypuszczam, Komitet Centralny znajdzie w tobie dzielnego współpracownika.

— Zabij mnie — powiedział poważnie więzień. — Zaoszczędzisz nam obu wielu kłopotów.

— Nie mogę. — Li potrząsnął głową. — Ja naprawdę chcę ci pomóc, Paul. Na przekór tobie samemu.

Wstał i odszedł szybko. W chwilę później siedział już na koniu i ruszył na czele kolumny. Nadszedł strażnik, ponownie przymocował linę do siodła i Chavasse pokuśtykał za nim.

Kiedy zbliżyli się do osiedla, wybiegły psy. Obszczekiwały ich, to wskakując w środek kolumny, to znowu wyskakując, aż żołnierze klnąc zaczęli chłostać je pejcami.

Kilkoro obszarpanych i niedożywionych dzieci pokazało się za kolumną i, utrzymując pewien dystans, towarzyszyło im aż do wsi.

Chavasse doszedł do wniosku, że trudno wyobrazić sobie bardziej mizerną egzystencję niż to życie pośród zalanych błotem uliczek i nędznych bud skleconych wokół rozległego placu, pełnego cuchnących kałuż. Wlókł się na końcu kolumny, obskakiwany przez ujadające psy. Dzieci wrzeszcząc podążały tuż za nim.

Na środku placu znajdowała się kamienna platforma. Oczekiwał na niej sołtys z kilkoma starszymi. Pułkownik Li ściągnął wodze i czekał, dopóki jego żołnierze, galopując po uliczkach osiedla, nie zbiorą na placu wszystkich mieszkańców.

Po upływie dziesięciu minut zadanie zostało wykonane i około stu pięćdziesięciu ludzi stało na placu, moknąc w strugach deszczu. Li dał znak i żołnierz popchnął Chavasse'a do platformy.

Anglik przyglądał się smutnym, apatycznym twarzom, żołnierzom otaczającym ten tłum i zastanawiał się, po co to wszystko.

Na odpowiedź nie czekał długo. Pułkownik wznosił w górę rękę.

— Ludzie z Sela! — zawołał. — Nieraz mówiłem wam, że cudzoziemskie diabły są waszymi śmiertelnymi wrogami. Zachodni świat wysyła ich, aby was krzywdzili. Dzisiaj przyprowadziłem

wam jednego z nich, żebyście go sobie obejrżeli z bliska.

W tłumie nastąpiło małe poruszenie, ale nikt nie wyraził na głos zainteresowania. Pułkownik mówił zatem dalej:

— Mógłbym powiedzieć wam wiele złego o tym człowieku.

Mógłbym powiedzieć, że zamordował kilku waszych rodaków i że chciał wyrządzić wam wiele krzywd, lecz jedna z jego zbrodni jest o wiele większa i bardziej szatańska niż wszystkie inne razem wzięte.

Zapanowała zupełna cisza, a potem Li powiedział, wolno akcentując słowa:

— Na tym człowieku ciąży współodpowiedzialność za porwanie Dalaj Lamy, który jest żywym Bogiem. Zmusił go siłą do przeprowadzenia się do Indii, gdzie obecnie jest więziony w pozbawieniu.

Za plecami więźnia rozległ się czyjś krzyk, po chwili jeszcze ktoś coś wrzasnął i cały tłum runął do przodu. W powietrzu zaświstały kamienie. Chavasse usiłował uchylać się przed nimi, ale mimo to, po upływie minuty jego twarz broczyła krwią.

Nieczystości, odchody i wszelkie plugastwa wyciągano z błota i ciskano nimi w więźnia, tak że po chwili był oblepiony tym świństwem od stóp do głów.

Pułkownik, gdy tylko tłum ruszył, wycofał się ze swoim koniem, ale teraz zawołał:

— Jaka kara należy się temu potworowi? Tłum zamarł, a potem ktoś wrzasnął:

— Zabij go! Zabij!!

Chavasse wierzgnął w panice, kiedy jakaś ręka schwyciła za krawędź podartego chałatu. Ktoś inny złapał za linę, która ciągle krępowała mu dłonie, i pociągnął Anglika w tłum.

To szarpnięcie powaliło go na ziemię. Leżał twarzą w błocie, otoczony lasem nóg. Strach dławił go za gardło, więc zaczął rzucać się na wszystkie strony z siłą, której sam się po sobie nie spodziewał, dopóki kawalerzyści nie rozproszyli tłumu.

Ludzie z wolna uformowali koło i wtedy podniósł się na nogi. Patrzyli na niego w milczeniu, z nienawiścią w oczach. Pułkownik podjechał do niego.

— Nie, towarzysze. Śmierć tego gada nie powinna być lak lekka. Najpierw musimy mu pomóc,

by zrozumiał swój błąd. Żeby stał się taki jak my. Żeby myślał tak jak my. Zgoda?

Tłum zaszemrał, ale kawalerzyści napaarli nań końmi i ucichło

— Widzisz, Paul? Gdyby nie ja, rozszarpaliby cię na kawałki. Czyż nie jestem twoim przyjacielem? — uśmiechnął się pułkownik Li.

Chavasse nic nie powiedział. Spoglądając na niego, czuł tylko rosnącą nienawiść.

## 11. Wyrok sądu

Leżącego w ciemności Chavasse'a zbudził z gorączkowego letargu dzwonek brzęczący gdzieś w jego głowie, gdy wewnątrz celi rozblęskło szkarłatnym światłem.

Miał wrażenie, że skóra na twarzy napięła się i że wszystkie receptory nerwowe poddawane są elektrowstrząsom.

Leżał dalej, patrząc w sufit. Żelazne sprężyny łóżka boleśnie wpijały mu się w plecy. Czekał, kiedy po niego przyjdą.

Usłyszał odgłos kroków po kamiennym korytarzu, a potem zgrzyt klucza w zamku. Odsunięto rygiel. Drzwi otworzyły się z wolna i jasne światło dnia wdarło się do celi.

Wolniutko opuścił nogi na podłogę i wstał. Przy drzwiach był tylko niski sierżant, który szybkim ruchem głowy nakazał więźniowi wyjść na zewnątrz.

Chavasse szedł za nim korytarzem poprzez, jak mu się zdawało, delikatne firanki szarych, poły-skliwych pajęczyn. Wlókł się, ciągnąc nogi za sobą. Przez trzy ostatnie dni nie dostał nic do jedzenia i teraz miał wrażenie, że każdy ruch wykonuje jak na zwolnionym filmie.

Wewnątrz czuł zupełny spokój. Odwrócił się i uśmiechnął do sierżanta, kiedy znaleźli się na końcu korytarza i zaczęli wchodzić po schodach. Tamten spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, w którym czaiło się coś w rodzaju strachu.

„Dlaczego miałby się mnie bać?“, pomyślał Chavasse. Gdy zatrzymał się przed znajomymi drzwiami i czekał, aż sierżant je otworzy, uśmiechnął się ponownie.

W sekretariacie siedziała przy biurku młoda, zgrabna kobieta i szybko coś notowała. Spojrzała na nich, kiwnęła głową i żołnierz otworzył wewnętrzne drzwi, przepuszczając Chavasse'a przed sobą do środka.

Za biurkiem pułkownika Li siedział kapitan Tsen. Czytał jakiś raport wypisany na maszynie, nie zwracając na przybyłych uwagi.

Chavasse wcale się tym nie przejmował. Spoza pajęczynowych zasłon, z lustra w złotych ramach patrzył na niego jakiś wymizerowany, zarośnięty człowiek. Chavasse uśmiechnął się do niego i nieznajomy odwzajemnił uśmiech. Za obcym koło drzwi stał sierżant, a w jego oczach znowu widać było strach.

„Czegóż on się boi?”. Obcy człowiek w lustrze zmarszczył czoło, jakby również rozważał ten problem. Po chwili jasne światło rozproszyło pajęczyny przed oczyma Chavasse'a.

Zrozumiał.

Nic mu nie mogą zrobić.

Wygrał.

Kapitan Tsen spojrział na niego beznamiętnie. Otworzył usta. Jego głos zdawał się dochodzić gdzieś z daleka, jakby z drugiego końca długiego tunelu.

Chavasse uśmiechnął się grzecznie, a Tsen podniósł dokument i zaczął czytać głośno jego treść.

Tym razem Chavasse słyszał każde słowo.

„Obywatelu Paulu Chavasse. Zostaliście uznani przez sąd specjalny Głównego Komitetu Wywiadu w Pekinie winnym ciężkiej zbrodni przeciwko Chińskiej Republice Ludowej”.

Sensowne oświadczenie. Nie mógłby mu niczego zarzucić. No, może poza małym drobiazgiem, że nie był obecny na swym procesie. Jednakże taki nieistotny detal nie miał znaczenia dla przebiegu sprawy.

Czekał, a Tsen kontynuował:

„Z wyroku sądu więzień zostaje skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok będzie wykonany natychmiast”.

Odniosł wrażenie, że przerwano jakąś tamę i radość wypełniła mu serce. Rozpłakał się.

— Dziękuję wam — powtarzał. — Serdecznie wam dziękuję. Tsen zmarszczył brwi i patrzył na niego w osłupieniu.



— Zostaniecie straceni. Rozumiecie?

— Doskonale! — zapewnił go Chavasse.

— W porządku — wzruszył ramionami Tsen. — Zdejmujcie ubranie.

Chavasse powoli, drżącymi palcami zaczął się rozbierać. Nie szło mu, ale obcy człowiek w lustrze uśmiechnął się zachęcająco, dodając mu sił. Kiedy agent Biura zrzucił z siebie brudną koszulę, Tsen rozkazał sierżantowi, aby przeszukał ubranie.

— To konieczne na wypadek, gdyby chciał popełnić samobójstwo.

Chavasse stał przed biurkiem, goły jak go Pan Bóg stworzył. Patrzył tępo na sierżanta, który klęcząc na podłodze starannie przeglądał jego łachmany.

Tsen nacisnął guzik przy biurku i pogrążył się w lekturze raportu. Weszła ta sama kobieta w mundurze. Nie zwracała uwagi na nagiego mężczyznę. Odebrała od kapitana dokumenty, podeszła do zielonej szafki i zaczęła układać je starannie.

Gdy Chavasse cierpliwie czekał, aż sierżant skończy przeszukiwać jego ubranie, nagle drzwi otworzyły się i skazaniec zobaczył w lustrze pułkownika Li.

Na twarzy komendanta pojawił się wyraz zaskoczenia, który szybko zamienił się w gniew. Przeszedł gabinet w dwu krokach i przepędził Tsena ze swego fotela.

— Ty głupia świnió! — wrzasnął. — Czy ten człowiek nie nacierpiał się już dosyć?! Czy musicie go jeszcze tak poniżać?

— Ale to przecież zwykłe, regulaminowe przeszukanie stosowane przed egzekucją— tłumaczył się Tsen. — Zalecenia Komitetu w tym względzie są oczywiste.

— Zejdź mi z oczu! — wrzeszczał pułkownik. — I zabierz ze sobą tę cholerną babę!

Kapitan i Chinka pośpiesznie opuścili pomieszczenie, a sierżant zaczął pomagać więźniowi w ubieraniu się.

— Jest mi bardzo przykro, Paul — powiedział ściszym głosem pułkownik Li. — Naprawdę.

— Nie ma sprawy — odparł Chavasse. — Nic już nie ma znaczenia.

— Więc już wiesz?

— Wygrałem. Prawda?

Na twarzy pułkownika odmalował się prawdziwy smutek.

— Nie miałem żadnego wpływu na to, co się stało — oświadczył. — Już nie odpowiadam za sprawę. Zostałeś skazany na śmierć przez Komitet i to jest koniec wszystkiego.

— To dziwne — odrzekł Chavasse — ale naprawdę bardzo się cieszę, że tak się wszystko potoczyło. I nawet jestem zadowolony, że mój mauzer się wtedy zaciął i że nie mogłem wpakować ci kuli między oczy. Będziesz miał dość czasu, aby samemu dojść do wniosku, że się mylisz. Że wy wszyscy się mylicie.

Li jęknął, powstał i podszedł do ognia. Przez chwilę patrzył w płomienie, a potem odwrócił się do więźnia.

— Żeby dali mi odrobinę więcej czasu — powiedział. — Choćby tylko kilka dni. Zbliżylibyśmy się, Paul. Bardziej niż myślisz.

— Olej i woda nie mieszają się — zaprzeczył Chavasse spokojnie. — Takie są prawa fizyki.

Wszystko nas dzieli. Teraz i zawsze.

— Tylko, że to my mamy rację, Paul — uśmiechnął się Li. — Nasze zwycięstwo jest pewne.

Ono wynika z prawa natury. To my wygramy. Was czeka klęska.

— Nie bierzecie pod uwagę człowieka jako takiego, a to najbardziej zmienny czynnik w kosmosie. W życiu, nieważne, moim czy twoim, czy czyimkolwiek nic nie jest pewne.

— Widzę, że tracę czas, usiłując dotrzeć do ciebie. — Li wyprostował się, trzasnął obcasami i wyciągnął rękę do więźnia. — Żegnaj, Paul.

Chavasse mechanicznie ucisnął rękę pułkownika. Wszelkie gesty również straciły dla niego znaczenie. Potem odwrócił się i sierżant wyprowadził go z gabinetu.

Szli znajomym korytarzem. Chavasse stanął przy swojej celi, ale sierżant kazał mu przejść dalej pod inne drzwi. Otworzył je i wepchnął więźnia do środka.

W celi było kompletnie ciemno. Chavasse zatrzymał się, wyciągnął ręce przed siebie i ostrożnie ruszył naprzód. Nagle uderzył nogą o żelazną pryczę. W tej samej chwili zapaliło się ostre, białe światło.

Mężczyzna leżący na pryczy był cały we krwi. Ręce skrzyżowano mu na piersiach, jakby był martwy. Oczy miał zamknięte, a z jego opuchniętych ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Twarz miał jak z wosku, zaś skóra na niej była tak przezroczysta, iż można było przysiąc, że przeświecają przez nią kości. Kryło się w niej niewypowiedziane cierpienie.

Chavasse ukląkł obok pryczy, nie dowierzając własnym oczom.

— Joro! — zawołał cicho. — Joro! — Delikatnie, samymi opuszkami palców dotknął twarzy storturowanego.

Oczy Joro otworzyły się niewiarygodnie wolno i martwo patrzyły na Chavasse'a. Potem pojawiła się w nich iskierka życia. Tybetańczyk poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ponownie zamknął oczy.

Wszystko wokół stało się nierealne. Chavasse siedział obok bezwładnego ciała młodzieńca, zapatrzony w ścianę. Po chwili rozległy się kroki i otworzono drzwi.

Łącznie z sierżantem było ich pięciu. Dwóch z nich powlokło Tybetańczyka. Chavasse szedł z tyłu z pozostałymi żołnierzami.

Gdy wyszli na zewnątrz, powitał ich ostro zacinający deszcz. Było zimno i ponuro. Niebo zasnuwały czarne, ciężkie chmury. Wszystko tonęło w mrocznym świetle przedświt.

Na środku dziedzińca oczekiwał ich kapitan Tsen z sześcioma żołnierzami. Widać było, że chciałby skończyć z tym jak najszybciej.

Nieco dalej widniały dwa drewniane słupy wkopane w ziemię. Chavasse czekał, a w tym czasie przywiązywano nieprzytomnego Jora do jednego z nich.

Kiedy przyszła kolej na niego, uświadomił sobie, że się nie boi. Nie czuł nawet bólu w ramionach od zbyt mocno ściągniętych więzów.

Skończono wreszcie przygotowania i wszyscy żołnierze zajęli miejsca w szeregu. Oczekiwano jeszcze na coś.

Po chwili na schodach głównego wejścia pojawił się pułkownik Li. Miał na sobie wojskową

czapkę i białe rękawiczki, wszystko zgodnie z regulaminem. Kapitan Tsen zaszalutował.

Li zaczął wolno schodzić w dół. Stał obok skazanych i założywszy ręce do tyłu spojrzął przeciągle na Chavasse'a, a potem trzasnął obcasami, zaszalutował i odszedł.

Tsen warknął krótki rozkaz i żołnierze podnieśli karabiny. Chavasse widział wszystko, co się wokół działo, jakby przez odwrotną stronę lornetki. Także dźwięki były przytłumione i dochodziły go z daleka. Zobaczył otwarte usta kapitana, a potem machnięcie ręką i w tej samej chwili zamknął oczy.

W dolinie zabrzmiała salwa. Chavasse czekał na śmierć, która jednak nie nadchodziła.

W otaczającej go ciszy usłyszał odgłos kroków i otworzył oczy. Ciało Tybetańczyka, przywiązane sznurami do pala, zwisało bezwładnie. Pułkownik Li stał obok, obojętnie stwierdzając zgon.

Chavasse patrzył na niego kompletnie zdezorientowany. Niezdolny do myślenia, nie chciał się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Tsen rzucił następny rozkaz i sierżant z czwórką żołnierzy wystąpił do przodu. Gdy odwiązywali Chavasse'a, więzień wpatrywał się w zmasakrowane ciało Jora i w mokry bruk, na który ciężkimi kroplami spływała krew z twarzy Tybetańczyka.

Li podszedł do niego, zachowując się chłodno i z dystansem.

— Masz rację, Paul. Przyjrzyj się dobrze. To ty jesteś winien, że ten biedny, nieświadom niczego głupiec teraz tu wisi. Tylko ty.

Więzy opadły. Chavasse dygotał.

— Dlaczego? — wycharczał. — Dlaczego?

Pułkownik z uwagą osadzał papierosa w cygarniczce. Przerwał, by podziękować za podany mu przez sierżanta ogień, zaciągnął się i, wydmuchując chmurę dymu, uśmiechnął się łagodnie.

— Ależ Paul, mój drogi, chyba nie sądziłeś, że chcemy z tobą skończyć?

Gdzieś w głębi eksplodował w nim straszliwy, bezgłośny krzyk i Chavasse rzucił się na pułkownika. Wyciągnął ręce, by chwycić go za gardło, osłonięte wojskowym kołnierzem. Ale nie udało mu się. Otrzymał potężny cios w kark, ktoś podciął mu nogi, zwałił się na bruk.

## 12. Noc jest przyjacielem

Światło pojawiło się tuż przy nim, a potem znowu zapanowała ciemność. Powtórzyło się to

kilkakrotnie i w końcu Chavasse'a to zirytowało. Ale kręciło mu się w głowie i nie mógł otworzyć oczu.

Kiedy się wreszcie obudził, stwierdził, że leży na wąskim, czystym łóżku. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było małe i ciasne. Unosił się w nim ów specyficzny, szpitalny zapach środków czyszczących i dezynfekujących.

Wokół było dość mroczno. W pokoju znajdowała się tylko jedna, przysłonięta abażurem lampka, przy której chińska pielęgniarka czytała książkę. Kiedy próbował się podnieść, dziewczyna wstała i wyjrzała na korytarz.

— Zawołaj doktora — zagadała do kogoś niewidocznego, znajdującego się na zewnątrz i zamknęła z powrotem drzwi.

Chavasse uśmiechnął się słabo.

— Czyżbym wciąż był między żywymi? Życie jest pełne niespodzianek.

Położyła mu chłodną, miękką rękę na czole. Przymknął powieki.

— Odpoczywajcie — powiedziała. — Nie powinniście mówić.

Jednak otworzył oczy, bo do pokoju wszedł lekarz. Zobaczył nad sobą smagłą, uprzejmą twarz.

Skóra na niej, pokryta gęstą siatką zmarszczek, zdawała się być naciągnięta na wystające kości policzkowe. Lekarz sprawdził jego puls i spytał:

— Jak pan się czuje?

— Wszawo — odparł Chavasse. Lekarz uśmiechnął się.

— Ma pan zdumiewająco silny organizm. Większość ludzi na pańskim miejscu dawno gryzłaby już ziemię.

— Nie miałbym im tego za złe. Przekonałem się na własnej skórze jak traktujecie więźniów.

— Proszę pana! Ja naprawdę nie interesuję się tymi sprawami. Będzie pan żył i to jest najważniejsze.

— To zależy od punktu widzenia — zauważył Chavasse. Ktoś zapukał do drzwi i pielęgniarka otworzyła.

— Przyszedł pułkownik Li.

Lekarz odwrócił się i powiedział do wchodzącego:

— Ale tylko piętnaście minut, pułkowniku. Pacjent musi jeszcze dużo spać, żeby przyjść całkiem do siebie. — Spojrzał na Chavasse'a życzliwie. — Jutro rano przyjdę do pana znowu.

Wyszedł wraz z pielęgniarką. Li podszedł bliżej do łóżka. Wyglądał wspaniale, a mundur leżał na nim jak ulany.

— Cześć, Paul. Jak się czujesz?

— Chcę papierosa — odparł Chavasse. — Możesz mnie poczęstować?

Li kiwnął głową i przysunąwszy sobie krzesło do łóżka, usiadł i otworzył papierośnicę. Chavasse z przyjemnością zaciągnął się dymem.

— O wiele lepiej — stwierdził.

— I o to chodzi, czyż nie? — rozpogodził się Li. — Czyste prześcieradło, wygodne łóżko, a kiedy trzeba nawet ci tyłek obmyją.

— A jak długo to potrwa?

— Ależ, mój drogi — Li wzruszył ramionami. — Przecież dobrze wiesz, że wszystko zależy od ciebie.

— Tak przypuszczałem — powiedział Chavasse z goryczą. — Przestraszyłeś się, że mogę umrzeć. Stąd te luksusy. Kiedy tylko będę mógł się podnieść na nogi, zabierzesz mnie do mojej uroczej, przytulnej celi i wszystko zacznie się od nowa.

— Masz rację, Paul — odparł Li spokojnie. — Zaczniemy wszystko od początku. Na twoim miejscu przemyślałbym to sobie.

— Na pewno to zrobię — powiedział Chavasse.

— A propos — rzekł Li, zmierzając już do drzwi. — znajdujesz się na trzecim piętrze klasztoru. Na korytarzu są wartownicy. Nie próbuj żadnych sztuczek.

— Nie mógłbym dojść nawet do toalety. Li uśmiechnął się lekko.

— Prześpij się teraz. Zajrzę tu jutro.

Drzwi się zamknęły i Chavasse został sam. Patrzył w sufit i próbował zebrać myśli. Jednego był pewien. Raczej umrze, niż pozwoli się znowu torturować. A skoro tak, to nie ma czasu do stracenia.

Odrzucił kołdrę i opuścił nogi na podłogę. Wziął głęboki oddech, wstał i zaczął iść.

Miał okropne zawroty głowy. Przez kilka chwil czuł się tak, jakby podłoga była z waty. Wreszcie dotarł do przeciwległej ściany. Odpoczął chwilę i ruszył z powrotem.

Usiadł na brzegu łóżka, a potem znowu spróbował. W kącie stała szafka. Otworzył ją pełen nadziei. Znajdowała się w niej tylko piżama i para szpitalnych kapci, nic więcej. Zamknął drzwi, podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, stwierdził, że pokój szpitalny znajduje się jakieś dwadzieścia metrów nad ziemią. Zrobiło mu się słabo i wrócił do łóżka. Ledwie przykrył się kołdrą, do pokoju weszła pielęgniarka.

Poprawiła mu poduszki i wygładziła pościel.

— Jak się pan czuje?

Zajęczał cicho i odpowiedział słabym głosem:

— Niedobrze mi. Chciałbym trochę pospać. Kiwnęła głową i spojrzała na niego z litością.

— Zajrzę do was potem. Odpoczywajcie.

Opuściła pokój tak samo bezszelestnie jak do niego weszła.

Chavasse uśmiechnął się sam do siebie. „Jak na razie nieźle”. Odsunął kołdrę i podszedł do drzwi. Z korytarza dochodziły jakieś głosy. Usłyszał jak pielęgniarka śmieje się i mówi do kogoś:

— Zanudzisz się na śmierć, siedząc tu całą noc.

— Ależ skąd, mój kwiatuszku — odparł męski głos. — Jakżebym mógł nudzić się w twoim towarzystwie.

Pielęgniarka znowu wybuchnęła śmiechem.

— Wrócę tu przed północą, aby do niego zajrzeć. Jeżeli będziesz, grzeczny, przyniosę ci coś do picia — powiedziała i odeszła. Żołnierz widocznie usiadł, bo zaskrzypiało krzesło.

A zatem Chavasse miał teraz jedną, jedyną szansę. Zaskoczenie. Jeżeli nie ucieknie teraz, nie zrobi

tego nigdy. Dzisiejsza noc stwarzała niepowtarzalną okazję. Pilnowano go mniej czujnie, w przekonaniu, że jest zbyt chory i słaby, by cokolwiek przedsięwziąć. Ucieczka w takim stanie — śmiechu warte.

Włożył piżamę i kapcie wzięte z szafy. Zgasił światło i przeszedł do okna.

Nieco w prawo, jakieś dziewięć metrów niżej, znajdowało się główne wyjście z budynku. Na żelaznym łańcuchu kołysała się przy nim lampa oświetlająca ścieżkę. W jej żółtym blasku siąpiący teraz deszcz wyglądał jak srebrna mgła. Chavasse otworzył okno i wychylił się na zewnątrz.

Po obu stronach ciągnęły się rzędy okien. Długie, żółte palce światel przesączających się przez szpary w okiennicach sięgały daleko w noc. Przejście tędy było więc niemożliwe. Także górą nie udałoby się opuścić klasztoru, bowiem dach zakończony był szerokim okapem. Jego krawędź znajdowała się stanowczo zbyt daleko.

Chavasse poczuł na twarzy zimne i wilgotne uderzenie wiatru, gdy tylko wychylił się bardziej z okna. W oknie poniżej jego pokoju było ciemno.

Nie zastanawiał się nad niebezpieczeństwem. Związał dwa prześcieradła i poszwę. Pod parapetem biegła żelazna rynna odprowadzająca wodę z dachu. Jeden koniec zaimprovizowanej liny przywiązał starannie do rynny, a drugi opuścił niżej. Trzymając się mocno prześcieradła, Chavasse wyszedł z okna i zaczął ześlizgiwać się w dół. Lodowaty wiatr przenikał przez lekki materiał piżamy, a deszcz zalewał oczy uciekiniera, ale wkrótce namacał on stopami parapet pod oknem na niższym piętrze. Był na razie bezpieczny.

Przez chwilę kołysał się na linie uczepony jej tylko jedną, drżącą ręką, gdyż drugą usiłował otworzyć zamknięte okno. Wreszcie z rozmachem pchnął je łokciem, a świst wiatru uderzającego o róg budynku zagłuszył brzęk tłuczonej szyby. Włożył ostrożnie rękę w wybity otwór i odemknął okno. Po chwili, skurczony, przycisnął się w ciepłym mroku.

Okazało się, że jest to coś w rodzaju magazynu. Wokół ścian pięły się drewniane półki wypchane stosami kołder, koców i prześcieradeł. Szparą pod drzwiami sączyło się światło. Chavasse powoli nacisnął klamkę i wyszedł na opustoszały korytarz.

Zamknął drzwi za sobą i bacznie rozglądając się poszedł wolno przed siebie. Nie miał pojęcia, co robi. Liczył na łut szczęścia. Był jednak spokojny. Miał przecucie, że w jakiś dziwny sposób wyrwie się stąd.

Kiedy był już na końcu korytarza, usłyszał przyciszoną rozmowę i, wychyliwszy się zza węgła,



zobaczył dwóch żołnierzy, siedzących na ławie z automatami na kolanach. Najwidoczniej pułkow-

nik Li nie zdawał się na los szczęścia, jeżeli chodzi o środki bezpieczeństwa. Chavasse cofnął się i nagle zamarł, słysząc głosy dochodzące z przeciwnego krańca korytarza. Za jego plecami znajdowały się jakieś małe drzwi. Otworzył je szybko i wszedł do niewielkiego, ciemnego pomieszczenia.

Była to zapasowa klatka schodowa, która wiła się w dół krętymi schodami w niszy wykutej w zewnętrznej, grubszej ścianie. Zszedł na sam dół. Otworzył kolejne drzwi i znalazł się na długim, bielonym wapnem korytarzu.

Poszedł nim tak szybko, jak mógł, sprawdzając po drodze wszystkie pomieszczenia. W jednym z nich dwóch żołnierzy siedziało przy drewnianym stole jedząc coś i gawędząc ze sobą wesoło. Minał ten pokój i skręcił w węższy korytarz, z którego prowadziło dalej dwoje drzwi.

Otworzył pierwsze i okazało się, że wiodły do łazienki. Drugie natomiast stwarzały więcej możliwości. W pomieszczeniu za nimi stały cztery łóżka, a przy ścianach żelazne szafki. Najprawdopodobniej była to kwatera strażników.

We wszystkich szafkach znajdowało się to samo. Zapasowe mundury, gumki i różne osobiste drobiazgi. Zdjął z wieszaka mundur, który wydawał mu się być odpowiedni miarą, wyciągnął gumki i zaczął się szybko przebierać.

Potem przejrzał się w popękany lustrze. Ubrany w ten sposób miał więcej szans. Potrzebny był tylko jeszcze jeden drobiazg. Znalazł go w ostatniej szafce. Była to czapka z czerwoną gwiazdą armii komunistycznych Chin. Naciągnął ją na czoło, tak głęboko, jak to było możliwe. W tym samym momencie do pokoju wszedł żołnierz. Był to młody, krzepki wieśniak. Miał nieco kabłąkowate nogi i spracowane ręce. Na widok Chavasse'a otworzył usta w niemym zdumieniu.

Chavasse nie miał sił ani warunków, aby walczyć z nim uczciwie. Schwycił jakieś stare, połamane krzesło leżące obok i rąbnął nim niefortunnego intruza w głowę.

Żołnierz jęknął i osunął się na kolana, ale po chwili usiłował wstać i złapał przeciwnika za spodnie. Chavasse odwrócił się i kopnął go w żołądek. Chińczyk przewrócił się na podłogę, a jego twarz spurpurowiała.

Wtedy agent Biura wyszedł i zamknąwszy za sobą drzwi szybko ruszył przed siebie. Wszedł po schodach, które były na końcu i otworzył następne drzwi. Znalazł się w wąskim przejściu, prowa-

dzącym do głównego holu.

Przy wyjściu, w oszklonej dyżurce, dwóch strażników siedziało i sączyło w najlepsze gorącą herbatę. Przeszedł obok, zwiesiwszy głowę. Jeden ze strażników zawołał coś za nim, a potem roześmiał się, ukazując zepsute żółte zęby. Chavasse machnął im ręką i wyszedł w noc.

Przed budynkiem stał pusty dziedziniec. Płócienny dach osłaniał wnętrze przed deszczem. Uciekinier zawahał się, a potem szybko zbiegł po schodach i wskoczył za kierownicę. Silnik załapał za pierwszym obrotem kluczyka. Chavasse zwolnił hamulec i samochód zaczął wolno zjeżdżać z pochyło-

ści. Agent nasłuchiwał, ale nic się nie działo. Nikt nie podnosił alarmu. Żołnierz na warcie przy bramie, machnął ręką, polecając mu jechać dalej. Wyjechał zatem z dziedzińca klasztoru i skierował się w stronę domu Hoffnera.

Zaparkował dzipa na podwórku. Wciąż siąpił deszcz. Było zimno i nieprzyjemnie. Ucieczka okazała się łatwa — stanowczo zbyt łatwa. I gdy wchodził po schodach nie czuł radosnego podniecenia. Był tylko zmęczony, przeraźliwie zmęczony i znowu kręciło mu się w głowie.

Pociągnął za dzwonek. W domu było ciemno. Oparł się o drzwi i gdy nagle je otwarto, nieomal wpadł do środka.

Dopiero wtedy zrozumiał, że jest bezpieczny — naprawdę bezpieczny. Przed upadkiem ochroniły go wyciągnięte ku niemu ramiona — delikatne, a przecież wystarczająco silne, by dać mu oparcie. Z półmroku wyłoniła się twarz Katii Stranow. Czuła i ciepła, i pełna miłości.

### 13. Dług do spłacenia

Było tak przyjemnie leżeć na miękkiej sofie i słuchać jak krople deszczu bębnią po okiennicach. Chavasse odpoczywał, przyglądając się Katii. Przygotowywała herbatę, krzątając się w salonie. Hoffner uważnie osłuchiwał Chavasse'a stetoskopem. Po chwili wyprostował się i potrząsnął głową.

— Powinieneś być w szpitalu, Paul. Jesteś w bardzo złym stanie.

— I na pewno nie będę w lepszym, jeżeli zostanę tu jeszcze trochę — odparł agent Biura. —

Potrzebuję czegoś, co choć na krótko postawiłoby mnie na nogi. Może mi pan pomóc?

— Owszem — kiwnął głową Hoffner — ale to lekarstwo będzie działać tylko przez określony czas. — Otworzył swoją czarną torbę i wyjął z niej ampułkę i strzykawkę.

— To znaczy: jak długo?

— W zwykłych warunkach około doby — odrzekł Hoffner — ale w twoim stanie niczego nie można być pewnym. Dam ci tę dawkę, a potem jeszcze jedną. To ci pomoże na jakieś dwa dni. Po-  
tem nie będziesz mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

— Ale wtedy będę już bezpieczny w Kaszmirze.

Ledwie poczuł ukłucie i natychmiast zaczął się ubierać. Katia podała mu gorącą herbatę w porcelanowej czarce. Chciwie opróżnił miseczkę.

— Kiedy zamierzasz nas opuścić? — zapytała.

— Kiedy *ja* zamierzam?... — Chavasse zmarszczył brwi. — *Wszyscy* opuszczamy Tybet.

Położyła mu rękę na kolanie.

— Rozumiem, że *ty* musisz natychmiast opuścić Tybet, Paul. Ale doktor Hoffner jest starym, chorym człowiekiem. Do granicy jest ponad dwieście kilometrów. Droga wiedzie przez dziki, surowy kraj. On tego nie wytrzyma.

— Na podwórzu stoi wojskowy dżip zatankowany do pełna — odparł Chavasse. — Pojedziemy nim do Rudok, zostawimy auto u stóp przełęczy Pangong Tso, a sami przejdziemy przez nią pieszo. To jakieś trzy lub cztery kilometry i już jest granica.

— Jego serce nie wytrzyma wysiłku na takiej wysokości — upierała się dziewczyna.

Hoffner położył jej ręce na ramionach.

— Katiu — oświadczył — ja muszę iść. Zrozum to. I pragnę, jak niczego innego na świecie, abyś poszła z nami.

Chavasse zapiął swoją pikowaną kurtkę i wstał.

— Nie zapominajcie, że nie mamy dużo czasu. Mogą odkryć moją nieobecność w ciągu najbliższej pół godziny.

—  
Ale dlaczego musi pan iść, doktorze? — potrząsnęła głową. — Czegoś tu nie rozumiem.

Hoffner spojrział na gościa pytająco i Chavasse kiwnął głową. Uczony, patrząc na Katię, powiedział łagodnie:

— Rzeczywiście, nie byłem z tobą szczery, moje dziecko. Dokonałem pewnego odkrycia.

Można powiedzieć, że jest to znaczący wkład w zrozumienie świata.

— To odkrycie epoki — dodał Chavasse.

— Wyniki moich badań sprawiają, że jestem potrzebny ojczyźnie i całemu zachodniemu światu

— ciągnął Hoffner, ignorując uwagę agenta.

Przez chwilę twarz Katii pozostawała bez wyrazu. Potem pojawił się w niej ból.

— Dlaczego nie powiedzieliście mi tego wcześniej? Czy nie ufaliście mi? Czy tak niewiele dla ciebie znaczę? — zwróciła się do Chavasse'a. — Dla was obydwu?

— Było wiele powodów — odparł Hoffner. — Musiałabyś odwrócić się od swych rodaków. Do końca życia pozostawać między obcymi.

Podniosła jego rękę do swego policzka.

— Nie mam nikogo oprócz was dwóch — powiedziała z uśmiechem. — Nikogo, tylko pana i Paula. Któż inny mógłby mnie obchodzić?

Chavasse objął dziewczynę i całując, poczuł, że jej twarz jest mokra od łez. Uśmiechnęła się radośnie, patrząc na niego. Nagle uśmiech znikł z jej ust. Zadrżała.

Poczuł zimny podmuch powietrza na karku. Odepchnął Katię i odwrócił się wolno. W drzwiach stał kapitan Tsen. Tuż za nim służący doktora z automatem w ręku.

Na twarzy kapitana Tsena malowała się niesamowita radość.

— Więc w końcu znamy prawdę, panie Chavasse — oznajmił. — Przyzna pan, iż nasza strategia okazała się skuteczna. Gra skończona.

„Powiniennem się domyśleć!”, powiedział sobie cierpko Chavasse. To wszystko poszło zbyt łatwo. Jego ucieczka została zaplanowana przez pułkownika Li. Był to zatem tylko następny ruch w grze.

Szach i mat!

Do przodu wystąpił Hoffner i zasłonił sobą Paula.

— Niech pan posłucha, kapitanie — zaczął.

— Proszę nie ruszać się z miejsca — chłodno powiedział kapitan.

Przez chwilę oczy służącego spoczęły na Hoffnerze. To Chavasse'owi wystarczyło. Wypchnął

Katię poza pole strzału i dał nura za sofę.

Służący pociągnął serią po ścianie. Pociski rozłupały boazerię. Katia rzuciła się w stronę zbiega.

— Nie, Paul! Nie! — krzyknęła i upadła na dywan.

W świetle ognia, płonącego na kominku, widział jak z rany na czole spływa po jej twarzy krew.

Wychylił głowę zza brzegu sofy.

Służący i Tsen stali ciągle w otwartych drzwiach. Hoffner klęczał przy Katii.

— Nie uciekniesz, Chavasse! — zawołał Tsen. — Wyjdź z rękami na karku.

Chavasse przeczołgał się za zabytkową otomaną i ze stojącego za nią stołu zdjął nieduży, dekoracyjny przycisk. Ważył go w ręku przez chwilę.

— Zaczynam tracić cierpliwość! — krzyknął kapitan Tsen.

Chavasse rzucił przyciskiem w przeciwległy ciemny kąt pokoju. Służący odwrócił się i wy-

strzelił dwukrotnie w stronę, z której doszedł go hałas. Agent Biura w trzech skokach był przy nim. Uderzył go kantem dłoni w kark i błyskawicznie chwycił automat, który wypadł z bezwładnych rąk Chińczyka.

Tsen zdołał tylko wyciągnąć z kabury pistolet. Rzucił go pospiesznie. Chavasse schylił się, podniósł pistolet i wsunął go do kieszeni.

— Tylko jedno trzyma cię przy życiu. Fakt, że będziesz mi potrzebny — oświadczył. — Zdejm pas i odwróć się.

Tsen wykonał rozkaz. W jego oczach nienawiść mieszała się ze strachem. Chavasse związał mu

ręce na plecach jego własną koalicijką i pchnął na fotel. Potem podszedł do Hoffnera, klęczącego wciąż nad dziewczyną. Lekarz delikatnie ścierał krew z jej twarzy.

— Co z nią?

— Miała szczęście — odparł Hoffner. — Pocisk tylko ją musnął. Pozostanie przez pewien czas nieprzytomna, a kiedy się ocknie dozna szoku, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

— Czy może jechać?

— Musi. — Starzec owijał głowę Katii bandażem. — Nie możemy jej teraz zostawić.

— Wobec tego idę po ciepłe ubrania i niezbędne drobiazgi. Zostawiam panu pistolet na wypadek, gdyby nasz przyjaciel zaczął sprawiać kłopoty.

Wrócił parę minut później, niosąc ze sobą kilka kożuchów i pikowanych kurtek. Hoffner już zbandażował Katii głowę, a teraz robił jej zastrzyk. Złożył torbę i powstał.

— Przygotowałem ją najlepiej, jak tylko można — oznajmił.

Wspólnie ubrali dziewczynę w ciepłą kurtkę, na to gruby kożuch, a na głowę naciągnęli jej kaptur. Chavasse zaniósł ją do dżipa, a Hoffner zadbał o swoje ubranie. Wciąż padało i dął zimny wiatr. Chavasse ułożył dziewczynę na tylnym siedzeniu auta tak wygodnie, jak było to możliwe, i pobiegł do domu.

Hoffner stał na środku biblioteki, ubrany w długi barani kożuch z futrzanym kapturem. Trzymając w ręku pistolet, rozglądał się wokół, jakby czegoś szukał.

Zmarszczył brwi, a potem podszedł do biurka, otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej niewielką skórzaną teczkę.

— O tym nie wolno mi zapomnieć — rzekł.

— Praca? — zapytał Chavasse, a kiedy stary pan przytaknął, dodał: — Coś jeszcze?

Hoffner rozejrzał się dokoła i westchnął.

— Tyle lat — potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Niech to wszystko pozostanie tak, jak jest. Nigdy nie marzyły mi się pomniki, ale prawdę mówiąc jestem już zbyt stary, żeby zaczynać wszystko od nowa.

Tsen, skulony bez ruchu na fotelu, spojrział na nich ze złośliwym uśmiechem.

— Nigdy się stąd nie wydostaniecie.

— Mylisz się — odparł Chavasse — ponieważ ty będziesz siedział przy mnie, gdy będziemy przejeżdżać przez główną bramę. Tsen patrzy! na niego takim wzrokiem, jakby go mdliło, ale

Chavasse przypomniał sobie o .Toro i opuściła go wszelka litość. Silnym pchnięciem skierował Chińczyka do holu i też ruszył za nim.

Kiedy dotarli do dżipa, Chavasse usadowił uczonego z tyłu obok dziewczyny, a sam zajął miejsce za kierownicą. Tsen usiadł obok niego.

Ulice były całkiem opustoszałe. Kiedy zbliżyli się do bram miasta, Chavasse wyjął pistolet z kieszeni i ukrył pod połą kozucha.

— Pamiętaj, żebyś mówił dokładnie to, co trzeba — ostrzegł Tsena

Nie było tam wartowni i żołnierzy, stojący pod latarnią przy zamkniętej bramie, zmarznięty, przemoczony do suchej nitki, przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz.

Chavasse zwolnił i wartownik podszedł bliżej. Jego broń lśniła w świetle lamp auta.

— Otwieraj, ty głupcze! — wrzasnął Tsen. — Spieszę się!

Żołnierzowi z wrażenia opadła szczeka. Szybko podniósł wielką sztabę, przytrzymującą wrota, po czym otworzył bramę tak szybko, jak potrafił. Kiedy przejeżdżali obok niego, Chavasse pochylił głowę, by daszek jego wojskowej czapki osłaniał twarz. Po chwili spojrzał za siebie — brama zamykała się powoli. Chavasse wrzucił najwyższy bieg. Ruszyli w noc.

Obszczekiwani przez psy minęli osiedle tubylców i wspięli się nad wzgórze ponad doliną, zostawiając pograżone w ciemnościach Changu za sobą. Dwadzieścia minut później Chavasse zatrzymał

się i rozkazał Tsenowi, aby wysiadł z auta.

— Ale ja mam związane ręce — jękał się Tsen. — Jak mogę tak wrócić?

— Powiedziałem. Wsiadaj!

Kapitan Tsen wygramolił się pospiesznie z dżipa i ruszył w drogę powrotną. Po chwili Chavasse wyszedł za nim. Doganiając Chińczyka zawołał:

— Kapitanie Tsen! Zapomniałem o czymś. Wydaje mi się, że jestem panu coś winien za mój los i za losy wielu innych ludzi.

Kiedy Tsen odwrócił się posłusznie, agent Biura wyciągnął z kieszeni pistolet i dwukrotnie z bliska strzelił mu w głowę.

Stał przez chwilę nad ciałem, a potem wrócił do dżipa. Nie zważając na pełne dezaprobaty

spojrzenie Hoffnera, ruszył przed siebie.

#### 14. Mury klasztoru Yalung Gompa

W szarym świetle poranka mury klasztoru Yalung Gompa jaśniały żywymi kolorami na tle ciemnych burzowych chmur. Chavasse zmarszczył czoło. Coś było nie w porządku, ale dopiero kiedy zjechali w głąb doliny, zrozumiał w czym rzecz. Brakowało jurt tubylczego osiedla.

Całemu temu miejscu towarzyszył dziwny nastrój zaniedbania. Jak gdyby zbliżali się do ruin jakiegoś starożytnego, martwego miasta. Przez otwartą bramę wolno wjechał na dziedziniec i natychmiast zahamował.

Pod murem klasztoru leżeli rzędem mnisi w szafranowych strojach. Niektórzy z nich wbili palce w ziemię, inni podkurczyli pod siebie nogi, jak gdyby walczyli do ostatka.

— Mój Boże — zawołał Hoffner ze zgrozą w głosie.

— To jedynie niewielka próbka tego, jak postępują Chińczycy w okupowanym kraju — stwierdził Chavasse. — Niech pan tu zostanie, a ja pójdę się rozejrzeć.

Już wcześniej w schowku pod tablicą rozdzielczą odnalazł doskonałą sztabową mapę okolic przełęczy, dwa granaty i pas z amunicją. Wyciągnął karabin maszynowy, szybko go załadował i wrzucił do kieszeni kilka dodatkowych magazynków. Następnie poszedł przez dziedziniec ku głównym drzwiom klasztoru.

Wewnątrz było ciemno i zimno. Ostrożnie posuwał się kamiennymi korytarzami. Nagle doszedł go monotony głos, powtarzający magiczne formuły modlitwy. Pchnął niewielkie drzwi i znalazł się w samym sercu świątyni.

Na podniesieniu widniała otoczona płonącymi świecami złota figurka Buddy, a przed nią klęczał mnich, wznosząc modlitwy. Wstał i odwrócił się do przybysza. Był to ten sam pomarszczony, stary mnich, który czuwał przy jego łóżku, gdy po śmierci Kurbskiego Chavasse budził się z głębokiego snu, całe wieki temu.

— Miło mi cię znowu widzieć, Angliku — oznajmił spokojnym głosem.

— Ja też się cieszę. Co tu się stało?

— Chińczycy ogłosili, że trzeba zamknąć wszystkie klasztory. Wiedzieliśmy, że prędzej czy



później, przyjdzie nasza kolej. Przyszli wczoraj. Duży oddział kawalerii.

— Czy nie mogli was obronić partyzanci Jora? Starzec pokręcił przecząco głową.

— Odeszli ze dwa tygodnie temu, aby przyłączyć się do większego oddziału. — Przez chwilę patrzył bacznie na Chavasse'a, a potem położył mu rękę na ramieniu. — Ale ty, synu, bardzo się zmieniłeś. Jesteś innym człowiekiem. Wygląda na to, że przeszedłeś przez piekło.

— Joro nie żyje.

— Każdy musi opuścić tę ziemię. Nie ma przed tym ucieczki.

Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Chyba już nie. Próbuję z dwojgiem przyjaciół przedostać się do Kaszmiru. Myślałem, że będą mogli mi pomóc ludzie Jora.

— Pewna rodzina przekradała się tędy ze dwa dni temu — oznajmił mnich. — Byli to Kazachowie z Sing Lang. Wódz plemienia z żoną i dwojgiem dzieci. Zamierzali również dotrzeć do Kaszmiru. Prowadzą konie, co niewątpliwie opóźnia ich marsz w górach. Być może uda się wam ich dogonić.

— To dobra informacja — przytaknął Chavasse. — Muszę już iść. — Zawahał się jeszcze. —

Czy mógłbym zrobić coś dla waszej świątobliwości?

Mnich uśmiechnął się i potrząsnął głową przecząco.

— Nie, mój synu.

Potem odwrócił się i uklękawszy zaintonował ponownie modlitwę. Jego głos rozbrzmiewał głucho w pustym klasztorze.

Chavasse, wsiadając do dzipa, popatrzył na Katię.

— Co z nią?

— Zasnęła tak głęboko — odparł uczony — że obudzi się dopiero za kilka godzin. Czy znalazłeś kogoś w klasztorze, Paul?

— Tak, pewnego starego mnicha. Postanowił tam zostać. — Zapуścił silnik. — Musimy jechać

natychmiast dalej. Pułkownik Li z pewnością depcze już nam po piętach.

— Czy sądzisz, że wzięł ze sobą wszystkich swoich ludzi?

— Nie — zaprzeczył Chavasse. — Ma szansę nas dogonić tylko wtedy, jeżeli weźmie dżipa, a zostały mu dwa samochody. Może więc zabrać nie więcej niż dziesięciu ludzi.

— A garnizon w Rudok?

— Joro mówił, że jest tam dziesięciu żołnierzy i sierżant, a że okolica jest bardzo niespokojna, więc raczej nie oddalają się od swej siedziby.

— A jeżeli pułkownik Li dogada się z nimi przez radio?

— Nie mają w ogóle czegoś takiego. Czasami zastanawiam się, dlaczego Chińczycy są w nie-których dziedzinach tacy prymitywni. — Agent Biura wzruszył ramionami. — Ponadto nie łatwo

będzie nas znaleźć wśród tych rozległych stepów.

— Rozumiem — zmarszczył brwi Hoffner. — Czy naprawdę uważasz, że mamy szansę wydo-  
stania się z Tybetu?

— Ludziom to się jakoś udaje — odparł Chavasse. — Kaszmir pęka w szwach od uciekinierów.

Ten stary mnich mówił, że zaledwie dwa dni temu pewna kazachska rodzina z Sing Lang zdążyła również w stronę granicy. Może zdołamy ich dogonić i sforsować przełęcz razem. To byłoby znaczne ułatwienie.

— Nie rozumiem — powiedział Hoffner — dlaczego decydują się opuścić Sing Lang. Przecież Kazachowie mieszkają tam od stuleci.

— Pułkownik Li potrafił rzeczywiście odciąć pana od wszelkich wiadomości, panie doktorze — stwierdził Chavasse. — W 1951 Kazachowie próbowali utworzyć własny rząd. Chińczycy zaprosili co znacniejszych wodzów na rozmowy i wszystkich wymordowali.

Hoffner zmarszczył brwi.

— I co było potem?

— Kazachowie zaczęli tłumnie opuszczać prowincję. Jeszcze teraz uciekają pojedyncze rodziny. Większość z nich przedostaje się potem do Turcji. Za zgodą władz osiedlają się głównie w

Anatolii. Ale w Kaszmirze też pozostało wielu Kazachów.

— Widzę, że odcięto mnie od świata bardziej, niż przypuszczałem — stwierdził uczonej z goryczą. Usiadł znowu głębiej i zamilkł.

Dwie godziny później padający wielkimi płatkami śnieg oblepił okno tak, że Chavasse musiał włączyć wycieraczki.

Przecięli widmową autostradę wiodącą do Yarkand. Niedługo potem Anglik zobaczył po prawej stronie jezioro, przy którym Kerensky wylądował swym samolotem. Wydarzenia tamtej nocy wydawały się dzisiaj tak odległe...

Chavasse zastanawiał się chwilę, czy Polak zdołał dolecieć szczęśliwie do swej bazy. Potem uśmiechnął się na myśl, że chętnie napiłby się jeszcze kiedyś z tym człowiekiem.

Na tylnym siedzeniu dzipa rozległ się nagle jęk Katii. Przeciągnęła się. Hoffner dotknął ramienia swego towarzysza. — Ona się budzi, Paul.

Chavasse zatrzymał auto i odwrócił się. Rumieńce jeszcze nie wróciły na jej policzki i twarz

Katii zupełnie ginęła pod bandażami. Wielka narzuta z owczych skór wydawała się zbyt duża jak na jej okrycie. Chavasse uśmiechnął się ciepło.

— Jak się masz, aniołku? W jej czarnych oczach pojawiło się niezmierne zdziwienie.

Próbowała wyswobodzić się spod narzuty, jednakże Hoffner ułożył ją delikatnie z powrotem.

— Musisz odpocząć, Katiu — stwierdził. — Zbieraj siły, przed nami daleka droga.

Dziewczyna odepchnęła jego ręce, usiadła i zdumiona patrzyła na dziką okolicę i padający śnieg.

— Nie rozumiem, gdzie jesteśmy?

— Na północ od Rudok, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od granicy — odparł Chavasse, uśmiechając się do niej. — Niedługo będziemy w domu, cali i zdrowi.

Zmarszczyła brwi, dotykając bandaży.

— Co mi się stało w głowę?

— W moim domu rozegrała się prawdziwa bitwa i jeden z pocisków otarł się o ciebie — poinformował ją Hoffner. — Nic poważnego, lecz musisz jeszcze poleżeć, żeby zebrać siły na finisz.

Skuliła się w rogu, wtulając twarz w futro. Chavasse sięgnął ręką do stacyjki, ale Hoffner klepnął go po ramieniu.

— Chwileczkę, wydaje mi się, że coś słyszałem.

Chavasse czekał, zmarszczywszy brwi, aż wiatr przyniósł z oddali ryk silnika.

— Co to? — Katia pochyliła się do przodu.

— Pułkownik Li znalazł nasz ślad — odparł Chavasse przygnębiony i ruszył szybko do przodu.

— Pędzi na złamanie karku! — zawołał Hoffner, przekrzykując łoskot dzipa.

— To jasne! — odkrzyknął Chavasse. — Jeżeli uda nam się uciec, jego kariera będzie skończona. Znajdzie się w niełasce i może przyplącić to życiem.

— Obawiam się, że to ostatnie niewiele dla niego znaczy — zauważył Hoffner.

Chavasse nie zamierzał kontynuować tej rozmowy, jako że całą uwagę poświęcał teraz drodze.

Prowadzącą przez wąwóz starodawną trasę karawan zawiewał śnieg. Łatwo było zjechać w jakąś odnogę, która mogła być ślepym zaułkiem. Potem wąwóz rozszerzył się i droga zaczęła opadać w dół w kierunku wielkiej rozpadliny. W oddali widać było most.

Chavasse zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć na mapę, a potem włączył niższy bieg i zaczął ostrożnie sprowadzać dzipa po pochyłości. Podparty dwoma filarami most był przeraźliwie wąski. Zahamował i wyskoczył z auta. Przeszedł na środek mostu. Kilka metrów niżej, wśród rumowiska skał, pieniała się rzeka. Było jednak dosyć miejsca, mógł przejechać, Chavasse wrócił do dzipa.

— Wytrzyma? — spytał Hoffner.

— Żelazobeton — zażartował Chavasse, starając się, aby zabrzmiało to przekonująco. — Utrzyma co najmniej trzy tony.

Wjechali powoli na most. Z każdej strony było zaledwie pół metra wolnej przestrzeni. Poczul pot, spływający mu ciurkiem po plecach, gdy bale na środku zatrzeszczały złowieszczo, ale już po chwili znaleźli się na drugim brzegu. Jednak miał jeszcze coś do zrobienia. Zatrzymał auto, wyjął ze schowka jeden z granatów i wrócił do mostu. Wyciągnął zawleczkę i rzucił granat. Padł na śnieg,

gdy huk wybuchu rozdarł ciszę.

Kawałki skał i drewnianych bali wyleciały wysoko w powietrze. Chavasse spojrzął za siebie.

Środkowa część mostu zapadła się w przepaść. Podeszedł bliżej i czekał, aż opadnie dym, żeby przyjrzeć się dokładnie. W tym samym momencie w wąwozie na drugim brzegu rzeki pokazały się dwa dżipy i zaczęły zjeżdżać z pochyłości. W pierwszym z nich siedziało sześciu żołnierzy. Z tyłu zamontowany był karabin maszynowy. Chavasse, świadom niebezpieczeństwa, pobiegł do auta.

Koła zabuksowały na śniegu. Kierowcę ogarnęła panika, ale po chwili wyjechał z rozpadliny.

Natychmiast przerzucił dźwignię na wyższy bieg i przycisnął gaz do dechy. Dżip frunął wszystkimi czterema kołami nad nierównością drogi, gdy seria z karabinu maszynowego uderzyła w ścianę

skalną po lewej stronie. Zaraz potem następował zakręt. Chavasse przyspieszył, spoglądając za siebie, aby sprawdzić, czy jego pasażerów nie dosięgły kule. Katia krzyknęła ostrzegawczo. Nacisnął pedał hamulca.

Było jednak za późno. Dżip wyleciał z traktu na ostro nachylone zbocze prowadzące w przepaść i zaczął ześlizgiwać się w dół. Chavasse rozpaczliwie zaciągnął ręczny hamulec. Przez chwilę miał nadzieję, że staną, ale po chwili dżip się przechylił i jedno z przednich kół zawisło w powietrzu.

Nie było czasu do namysłu. Chavasse zeskoczył na ziemię i szybko wyciągnął Katię z auta. Hoffner, wydostawszy się o własnych siłach, przyciskał do piersi wielką, czarną torbę.

Zaraz potem rozległ się zgrzyt i dżip wolno ruszył w przepaść. Chavasse zdołał jeszcze wyciągnąć z niego pistolet maszynowy i granat. Odskoczył w ostatnim momencie, zanim dżip runął w dół.

Po chwili rozległy się raz za razem trzy potworne uderzenia żelaza o kamienne zbocze i zapano-wała ponownie cisza.

Chavasse wrócił do zakrętu i wyrztał zza skały. Śnieżna zawieja okryła dolinę wielką, białą kurtyną, ale agent Biura zdołał dostrzec dwa dżipy, zaparkowane po drugiej stronie mostu, i żołnierzy schodzących ku rzece.

Wrócił do swych partnerów.

— Kiepska sprawa — powiedział. — Zamierzają pieszo przejść przez rozpadlinę i rzekę.

Katia wyglądała na zdenerwowaną, ale Hoffner był rzeczowy.

— Co robimy, Paul?

— Według mapy pozostało nam jeszcze jakieś piętnaście kilometrów do granicy — odparł Chavasse. — Jeżeli zboczymy teraz ze szlaku i pójdziemy górą, trawersując zbocze, to znajdziemy się wkrótce na przełęczy Pangong Tso. Trzy kilometry dalej znajduje się budynek należący kiedyś do tybetańskiej straży granicznej. Mogą tam być Chińczycy, ale musimy zaryzykować.

— To niemożliwe, Paul! — krzyknęła Katia. — W tym stanie nie przejdę nawet jednego kilometra. Doktor Hoffner także!

Wziął ją pod ramię i pomógł wejść na zbocze.

— Nie mamy wyboru.

Hoffner ujął dziewczynę pod drugie ramię i ruszyli w górę. Pochylali głowy przed sypiącym im w oczy śniegiem. Kiedy zatrzymali się na chwilę na niewielkiej półce, Hoffner spojrzał nagle na Chavasse'a przerażonym wzrokiem.

— Moja teczka, Paul! Pozostała w dziupie!

Chavasse patrzył pustym wzrokiem na uczonego, dławiła go wściekłość. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Przecież właśnie dla tej cholernej teczki tyle się nacierpiał. I teraz wszystko na nic?!

Hoffner dotknął jego ramienia.

— Nie martw się, Paul. To, co najważniejsze i tak mam w głowie.

— Czy nie rozumie pan, że wszystko diabli wezmą, jeżeli te dokumenty wpadną w ręce pułkownika Li? — Chavasse odzyskał głos. Wcisnął do ręki uczonego granat. — Niech pan to

weźmie. Niewiele pan się zna na broni. Ale to bardzo proste. Jeżeli was tu znajdą, trzeba wyrwać zawleczkę i rzucić w nich tym żelastwem.

Odwrócił się. Trzymając pistolet maszynowy w lewej ręce zbiegł ku drodze. Potem ześlizgnął się bez wahania stromym zboczem kilkanaście metrów w dół. Tam, między dwoma potężnymi głazami, zaklinował się rozbity dziup.

Szybko odnalazł czarną teczkę. Leżała, wciśnięta pod zgnieciony fotel kierowcy, jakby nigdy

nie. Wyciągnął ją i zaczął się wspinać z powrotem. Serce waliło mu jak młot, a w ustach czuł słodkawego smaku krwi, lecz nie wypuszczał z lewej ręki pistoletu i teczki. Pomagając sobie wolną prawą ręką parł do przodu jak oszalały.

Przeszedł przez drogę i piął się wyżej. W pewnym momencie poślizgnął się, upadł na kolana i wtedy usłyszał głosy nawołujące wśród zamieci.

Odwrócił się i spostrzegł kilku żołnierzy wybiegających zza zakrętu. Przyklęknął na jedno kolano, podniósł wyżej pistolet i wygarnął cały magazynek w ich kierunku. Potem, nie bacząc na wynik, kontynuował wspinaczkę, zziębnięty jak zgonione zwierzę.

Słyszał krzyki goniących go mężczyzn, a zaraz potem potężną eksplozję. Kiedy przebrzmiała, zamiast odgłosów pogoni słychać było tylko jęki rannych i rżenie umierających.

Opadł z sił. Przez chwilę leżał w bezruchu z twarzą w śniegu. Nagle śnieg wokół niego zaczął się osuwać.

Z trudem wstał na nogi. Usłyszał stukot końskich kopyt na kamieniach, a po chwili zobaczył konia z jeźdźcem, zjeżdżających ku niemu po zboczu.

Nieznajomy miał na sobie futro z irbisa, śnieżnej pantery zamieszkującej te wysokie góry, także futrzany kapelusz i miękkie czarne buty do konnej jazdy. Trzymał w ręce potężny karabin maszynowy.

Chavasse patrzył osłupiałym wzrokiem na przybysza, którego przystojną, śniadą twarz rozjaśnił nagle szeroki uśmiech.

## 15. Niepojęta wola Allaha

Śnieg sprawiał wrażenie ogromnego białego ptaka, gnanego przez wichry wiejący znad stepów. Jednakże w niszy, którą tworzyło parę wysokich skał, było niezwykle spokojnie.

Chavasse siedział oparty plecami o ścianę, z obnażonym ramieniem, podczas gdy doktor Hoffner robił mu drugi zastrzyk. Osman Sherif, kazachski przywódca, przykucnął obok z karabinem na kolanach i uśmiechał się.

— Niepojęta jest wola Allaha, mój przyjacielu — powiedział po chińsku. — Wydaje mi się, że tym razem życzę sobie, abyśmy odbyli razem ostatni etap naszej wyprawy.

Tuż za Kazachem stała jego żona, trzymając wodze koni. Rozmawiała z Katią. Nieco dalej bawiło się w śniegu dwoje dzieci zakutanych w futra.

Chavasse opuścił rękaw i wstał.

— Jeżeli nie wyruszymy natychmiast, to możemy w ogóle nie dotrzeć do granicy — oznajmił.

Osman popatrzył poprzez padający śnieg na niebo i potrząsnął głową z wyrazem niechęci.

— Fortuna kołem się toczy. To, co się miało zdarzyć, już się zdarzyło. Zamierzałem przenocować w tym miejscu. Doskonały biwak.

— Pod warunkiem, że nie masz oddziału Chińczyków na karku — zauważył Chavasse.

— I tak nie dojdziemy do granicy przed nocą — odparł Kazach.

— Nie musimy — tłumaczył mu Chavasse. — Jeżeli zdołamy przejść przez grzbiet tej góry, znajdziemy się na przełęczy Pangong Tso. Trzy kilometry od granicy znajduje się opustoszały budynek tybetańskiej straży granicznej. Stąd nie będzie dalej niż dziewięć, dziesięć kilometrów.

Tam wypoczniemy, a rano ruszymy dalej.

— A jeżeli będą tam Chińczycy?

— Musimy się z tym liczyć, ale nie będzie ich tam więcej niż z pół tuzina. — Odwrócił się do Hoffnera. — Co pan o tym sądzi?

Uczony wzruszył ramionami.

— To chyba nasza jedyna szansa.

— Wszystko jest w ręku Allaha. — Kazach kiwnął głową na zgodę. — Wygląda na to, że musimy zostawić tu większość naszych rzeczy, żebyście mogli dosiąść koni.

— Nie martw się tym, Osmanie — pocieszył go Chavasse. — Kiedy będziemy w Kaszmirze, zaopiekują się tam wami. Dopilnuję osobiście, żeby zaopatrzone was we wszystko, co trzeba i wysłano pierwszym transportem do Turcji. Wkrótce połączycie się z waszymi rodakami w Anatolii.

W oczach Kazacha pojawił się błysk radości.

— Trzeba było od razu tak mówić, mój przyjacielu. — Założył karabin na ramię i zaczął rozładowywać wierzchowce.

Chavasse podszedł do Katii i uśmiechnął się do niej.

— Jak się czujesz?



Była bardzo blada i miała podkrążone oczy.

— W porządku, Paul. Nie martw się o mnie. Ale czy zdołamy przejść?

— Nie przejmuj się. Wszystko będzie jak należy.

Poklepał ją po ręce i pospieszył z pomocą Osmanowi.

Kiedy kilka minut później wyruszyli z kryjówki, niewielką karawanę prowadził Kazach. Chavasse pilnował tyłów.

Konie zapadały się po pęczyny w śnieg, a Chavasse, jadąc na koniu, pochylał głowę pod wiatr, sam na sam ze swymi myślami. Przestał już obawiać się o powodzenie wyprawy. Nawet Chińczycy, podążający zapewne ich śladem, nie wydawali mu się już groźni.

Powrócił myślą do pułkownika Li. Przypomnił sobie niekończące się przesłuchania i zastanawiał się nad dziwną, przewrotną zażyłością, którą pułkownik próbował tworzyć między nimi.

Choćby to, że Chińczyk od samego początku zwracał się do niego po imieniu, jak gdyby byli przyjaciółmi. Jakby ich ze sobą coś łączyło. Jasne, że wszystko było z góry ukartowane. Jeszcze jedna psychologiczna sztuczka, która się nie udała, a przecież komendant sprawiał wrażenie, że jest nieomal szczerzy wobec Anglika. To właśnie było najbardziej niewiarygodne w całej tej historii.

Chavasse'a przeszył nagły ból. Zatrzymał konia i ze zdumieniem stwierdził, że koń prawie po kolana zanurza się w śnieg. Gdy zrzucił rękawicę i dotknął twarzy, poczuł bryłki śniegu i lód na policzkach, a w kilku miejscach skóra była boleśnie spękana.

Zmarszczył brwi i z powrotem włożył rękawice. I nagle, podniósłszy głowę, uświadomił sobie z przerażeniem, że jest sam w zapadającym zmierzchu.

Stał przy czarnej sterczącej skale, która jak samotny, milczący strażnik gór wznosiła się przy szlaku. Wiatr zasypywał śniegiem ślady małej karawany. Kiedy Chavasse przynaglił konia, ślady te znikły całkiem.

Czas jazdy dłużył mu się niemiłosiernie. Jechał przed siebie na oślep, polegając na instynkcie wierzchowca. Wiatr owiewał głowę jeźdźcy i ciał go po policzkach tak, że w końcu stracił czucie.

Podniósł głowę, gdyż jego koń się zatrzymał. Z mroku wynurzała się wzniesiona wysoko, owiewana śniegiem samotna czarna skała, ta sama, którą minął godzinę temu. Zatoczył więc koło.

Schylił się przed nagłym podmuchem wiatru i spostrzegł na śniegu duże, nieco już zawiane ślady. Przynaglił wierzchowca, by pójść za nimi zanim całkiem znikną.

Wiatr wył jak stado wilków, zmrożony śnieg oblepiał go ze wszystkich stron, ale Chavasse uparcie, nisko pochylony, jechał po niknących śladach. Po chwili zobaczył futrzaną rękawiczkę.

Był zdrętwiały z zimna i wydawało mu się, że jego mózg pracuje na zwolnionych obrotach.

Uniósł w górę dłonie, aby się przekonać, że ma na nich obie rękawice. Do kogo należała zatem ta, która leżała w śniegu?

Nieco dalej trafił na futrzany, chiński wojskowy kaptur. Zsiadł, by go podnieść i oglądał, nic nie rozumiejąc, a wtedy jakaś postać wyłoniła się z gęstniejącego mroku i zatoczyła na Anglika.

Chavasse miał przed sobą zamrożoną białą maskę, a gdy spojrzał w dół, na dłoń, która oparła się o jego ramię, spostrzegł, że była goła i odmrożona. Anglik podniósł rękę i nie zdejmując rękawicy otarł twarz przybysza ze śniegu. Patrzyły na niego nieobecne, pozbawione wszelkiego wyrazu oczy pułkownika Li. Chavasse stał bez ruchu przyglądając mu się przez chwilę, a potem zdjął

rękawiczkę i sięgnął do prawej kieszeni. Wyciągnął z niej pistolet kapitana Tsena.

Przycisnął wylot lufy do piersi pułkownika i namacał zdrętwiałymi palcami spust. Po chwili z powrotem wsunął broń do kieszeni.

„Dlaczego cię nie zabijam, skurwielu?! Dlaczego nie mogę cię zabić?” Nie było odpowiedzi na to pytanie. W każdym razie nie było takiej, która miałaby jakiś sens. Chavasse włókł bezwładne ciało pułkownika do konia, a potem usiłował przełożyć je przez siodło.

Ale to nie było takie łatwe. Był bardzo osłabiony. Objął ciało Chińczyka i oparłszy się o bok konia znowu spróbował. Miał jednak wrażenie, że siodło znajduje się nieskończenie wysoko i czuł, że opuszczają go resztki sił.

Ale ciągle jeszcze tlił się w nim płomień wewnętrznej pasji, jakby kwintesencja męstwa, która nie pozwoliła mu poddać się. Wziął głęboki oddech i najwyższym, ostatnim wysiłkiem dźwignął

ciało wroga na koński grzbiet. Gdy sam wdrapał się na wysokie, drewniane siodło i przynaglił wierzchowca do marszu, zobaczył wśród śnieżnej zamieci jadącego mu na spotkanie Osmana Sherifa.

## 16. Czas prawdy

Budynek straży był to niski bunkier zbudowany z potężnych bloków skalnych. Na zewnątrz

wicher szalał i wył na przełęczy, niosąc z Mongolii ciężkie śniegowe chmury. Wokół murów strażnicy utworzyły się wielkie śniegowe zaspę.

Wnętrze bunkra przypominało stajnię. Zmęczone konie zajmowały ponad połowę tego pomieszczenia. Chavasse siedział jeszcze wciąż oszołomiony, pokrzepiając się gorącą herbatą, a jego kożuch parował od ciepła.

Po drugiej stronie ogniska spała kompletnie wyczerpana Katia, objawszy dwoje dzieci, których matka cierpliwie pilnowała ognia, gotując wodę w blaszanym kociołku.

W rogu najbardziej oddalonym od drzwi, w niszy oświetlonej łożówką, Hoffner i Osman klęczeli nachyleni nad pułkownikiem Li, usiłując przywrócić go do życia. Od czasu do czasu Li jęczał cicho

i wówczas Hoffner przemawiał do niego delikatnym głosem. W pewnej chwili Chińczyk usiłował zerwać się na nogi, ale Kazach przygniótł go z powrotem do podłogi.

Kiedy uczony powrócił do ogniska, Osman okrył pułkownika owczą skórą.

— Co z nim? — zapytał Chavasse.

— Amputowałem mu trzy palce lewej ręki — westchnął Hoffner. — To drastyczne posunięcie, ale lepsze niż gangrena. Całe szczęście, że ten Kazach odnalazł cię wśród śniegów.

Wiatr ryczał przeraźliwie w gardzieli przełęczy i Chavasse wzdrygnął się.

— Nie przetrwalibyśmy długo przy takiej pogodzie. Osman jest bardzo odważnym mężczyzną.

Żeby wyjść w taką potworną zamieć na poszukiwania, trzeba mieć naprawdę niezwykły charakter.

Zgubiłem wasz ślad i kręciłem się w kółko. Wtedy znalazłem pułkownika Li.

Hoffner wolno napełniał fajkę.

— Sądziłem, że go dość dobrze rozumiem, ale teraz nie jestem tego pewien. Co nim kierowało, że ścigał nas pieszo w taką okropną pogodę?

— Bóg jeden wie. Komunistyczna mentalność jest zbyt skomplikowana, jak na moje możliwo-

ści.

Osman Sherif przykucnął obok nich. Uśmiechnął się szeroko, gdy żona podała mu czarkę z herbatą.

— Wy, ludzie Zachodu, lubicie wszystko komplikować. Tymczasem nasze życie jest o wiele prostsze, a nasze wartości bardziej podstawowe. Myśliwy ściga zwierzę, dopóki go nie dogoni, albo sam nie padnie martwy.

— Nie — Hoffner pokręcił głową przecząco. — W tym przypadku chodzi z pewnością o coś więcej. Musiała zadziałać jakaś silniejsza motywacja.

— To proste — odparł Chavasse. — Chodziło o pańską teczkę.

— Ale skąd mógłby o niej wiedzieć? Przecież kapitan Tsen nie był w stanie zameldować o tym, czego się dowiedział. — Hoffner potrząsnął głową. — Myślę, że chciał schwytać ciebie, Paul.

— Chodziło mu o nas wszystkich — powiedział Chavasse. —

Przecież to oczywiste.

— Czegoś w tym wszystkim nie rozumiem — oznajmił Hoffner — ale mniejsza o to. — Położył się, oparł głowę na swojej teczce i naciągnął na siebie kożuch. — Chciałbym trochę się zdrzemnąć.

Chavasse wyciągnął się obok niego, zapatrzony w ogień.

Próbował znaleźć jakąś sensowną odpowiedź, ale żadnej odpowiedzi nie było. A może tylko żadna nie przychodziła mu do głowy. Po chwili zasnął.

Obudził się nagle i leżał chwile w bezruchu, patrząc w sufit. Z trudem przypomniał sobie, gdzie się znajduje. „Byłem w tylu miejscach, myślał, w tak wielu różnych miejscach. A gdzie jestem

teraz?”. Potem usiadł.

Ręce miał spuchnięte, a twarz paliła go żywym ogniem. Dotknął policzków i odniósł wrażenie, że palce napotkały żywe mięso.

Wszyscy zapadli w głęboki sen. Pochylił się, aby podsycić ogień. Płomienie na nowo rozświetliły wnętrze bunkra i wtedy dostrzegł Katię, klęczącą nad pułkownikiem Li.

Była blada i wyglądała źle. Przeszedłszy ostrożnie nad ciałami śpiących ludzi, siadła obok Paula, wyciągając ręce do ognia.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Przeżyję — odparł. — A co z naszym przyjacielem?

— Obudziłam się i usłyszałam jęki — odparła. — Pomyślałam, że powinnam zajrzeć do niego.

Co się stało z jego lewą ręką?

— Odmrożenie — odparł Chavasse. — Doktor Hoffner musiał amputować mu trzy palce.

Zauważył, że dziewczyna oddycha ciężko, więc objął jej ramiona.

— Wiem dobrze, że to wszystko jest jak zły sen, ale to nie potrwa długo. Jak tylko się wy-pogodzi, przejdziemy przez granicę.

Milczała przez chwilę.

— Jak myślisz, Paul, dlaczego on nie zaprzestał pościgu, choć szedł sam i w dodatku pieszo w tak okropną pogodę?

— Jakakolwiek jest przyczyna jego zaciekłości, prędzej czy później zjarłaby go sama — oświadczył Chavasse. — Hoffner uważa, że jemu przede wszystkim chodzi o mnie.

— Jak to?

— Li jest człowiekiem, który żyje wiarą, tak jakby był jej kapłanem, tylko że jest to wiara w polityczne dogmaty. I one nadają jego życiu sens.

— Ale co to ma wspólnego z tobą?

— Mogę tylko zgadywać. Przypuszczam, że z dziwnych pobudek osobistych najważniejsze sta-

ło się dla niego to, żebym nie tylko się przyznał do zbrodni, popełnionych przeciw komunistycznym Chinom, ale także przeistoczył się przy jego pomocy w szczerego komunistę.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo wydaje mi się, że mnie polubił. Boże, zmiłuj się nad nim — westchnął Chavasse. —

Sądzę zresztą, że w innych okolicznościach moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

Zapadło długie milczenie, wreszcie Katia cicho zapytała:

— I co z nim będzie?

— Nie mam pojęcia — Chavasse wzruszył ramionami. — Zachwiałem w nim wiarę w jego wartości, ponieważ nie przyjąłem ich nawet pod przymusem. Nie może funkcjonować z zamęt w głowie. Ale nie ma też wyboru. Jeżeli nie zniszczy mnie — zniszczy siebie.

— To dziwne — powiedziała dziewczyna. — Mówisz o nim słowami, które oznaczają współczucie, a twój głos brzmi twardo.

— Współczucie jest ostatnią rzeczą, na którą zasługuje. Ma zbyt dużo niewinnie przelanej krwi na sumieniu.

— Co zamierzasz z nim zrobić, kiedy będziemy stąd wyjeżdżać?

— Dam mu konia i trochę żywności. Jeżeli będzie chciał, dotrze z łatwością do Rudok. Nie zamierzam go zabijać, jeżeli o to pytasz. Nie ma potrzeby.

— Ponieważ i tak już go zniszczyłeś?

— Coś w tym rodzaju — kiwnął twierdząco głową. Zapatrzyła się w ogień.

— A co ze mną, Paul? Co się ze mną stanie, kiedy znajdziemy się w Kaszmirze? — spytała po chwili.

Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

— Jestem pewien, że znajdziesz coś dla siebie.

— Myślisz, że możemy mieć jakąś nadzieję? — Patrzyła mu prosto w oczy dziewczęcym, niewinnym spojrzeniem.

— Zawsze jest jakaś nadzieja, Katiu. Dzięki temu życie ma sens.

Położyła mu głowę na ramieniu, a on objął ją mocniej. Po chwili zasnęła. Siedział dalej, patrząc w ogień, czekając aż się rozwidni.

Tuż przed świtem wiatr ucichł. Osman wyszedł na zewnątrz. Wrócił uśmiechnięty.

— Już nie pada. Przejdziemy przez granicę bez trudności.

Kiedy zaczął wyprowadzać konie, wszyscy się pobudzili. Żona Kazacha podkładała na ogień

suche szczapy, aby zagrzać wody na herbatę.

Chavasse wyszedł, by pomóc Osmanowi przy siodłaniu koni. Powiedział, że chciałby wyekspe-  
diować na jednym z nich pułkownika Li.

— Szkoda konia — stwierdził Kazach.

— Uważasz, że może dojść do Rudok na piechotę?

— Nie o to chodzi. — Osman potrząsnął głową. — Patrzyłem w jego oczy, mój przyjacielu. To  
żywy trup.

Chavasse wrócił do bunkra i usiadł obok Hoffnera popijającego herbatę. Stary człowiek zszarzał  
i wynędzniał, ale nie stracił wigoru.

— Cóż to za posępna mina, Paul? — zapytał.

— Pan także nie prezentuje się najlepiej — odparł Chavasse, wyciągając rękę po miseczkę z  
herbatą, podaną przez żonę Osmana.

Katia siedziała pomiędzy dziećmi po drugiej stronie ognia, patrząc pustym wzrokiem w pło-  
mienię. Wyglądała źle. Zbladła jeszcze bardziej, a przezroczysta skóra jakby opinała jej kości  
policzkowe.

— Już niedługo — łagodnie zwrócił się do niej Chavasse.

Wyrwana ze swych rozmyślań, wzdrygnęła się. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby go zoba-  
czyła po raz pierwszy w życiu. Zmarszczyła brwi, a potem uśmiechnęła się. Ale był to dziwny,  
smutny uśmiech, który budził w nim zapomniane uczucia.

Wypił resztkę herbaty, napełnił czarkę na nowo i podszedł do siedzącego w kącie pułkownika Li.

Przykucnął przy nim.

Li obandażowaną dłoń oparł na piersi. Sprawiał wrażenie, iż jest zupełnie spokojny, choć był  
bardzo blady. Uśmiechnął się, przyjmując herbatę.

— Powinienem ci chyba pogratulować, Paul — powiedział.

— Dziwi mnie — zagadnął Chavasse — dlaczego Tsen nie wziął ze sobą więcej ludzi, zasta-

wiając na mnie pułapkę w domu doktora?

— Sześciu żołnierzy miało się zgłosić do niego o północy, ale szybkość, z jaką zdołałeś uciec, pomieszała im szyki. — Li uśmiechnął się słabo. — Czy ktoś jeszcze przeżył? Kiedy podchodziłem pod to zbocze, szło za mną jeszcze trzech żołnierzy.

— Nie widzieliśmy żadnego — odparł Chavasse. — Znalazłem cię przypadkiem, ponieważ zbłądziłem w zamieci. Potem Osman odnalazł nas obu. Zawdzięczasz mu życie.

Pułkownik opróżnił czarkę i postawił ją ostrożnie na ziemi.

— Zapewne nie na długo — stwierdził. Chavasse potrząsnął głową.

— Nic nie rozumiesz. Zostawiam ci konia i odrobinę jedzenia. Powinieneś bez przeszkód dotrzeć do Rudok.

Pułkownik skrzywił się nieznacznie, a na jego czoło nagle wystąpił pot.

— Nie masz zamiaru mnie zastrzelić?

— Nie ma potrzeby, pułkowniku Li. Jesteś skończony, jak mówią Amerykanie. — Chavasse wstał.

— Nie całkiem, Paul — rozległ się za nim cichy głos. Odwrócił się bardzo wolno. Po drugiej stronie ogniska stała

Katia z pistoletem maszynowym w ręku. Pierwszy odzyskał mowę Hoffner.

— Katia! Na rany Chrystusa! Co to znaczy?

Niezwykła bladość uczyniła ją piękniejszą niż zwykle, ale w jej czarnych, smutnych oczach widać było udrękę, której Chavasse nie miał już nigdy zapomnieć.

Ruszył wolno w jej kierunku z rękami ukrytymi w kieszeniach kozucha. Uśmiechał się spokojnie.

— Powiedz mu, mój aniele. Powiedz mu wszystko. W jej oczach pojawiła się zgroza.

— Wiedziałaś? — szepnęła. — Cały czas wiedziałaś, kim jestem?



— Oczekiwałem na twój ruch od czasu, kiedy odzyskałaś przytomność — odparł Chavasse. —

Zdradził cię twój ukochany, jeżeli cię to interesuje. Kiedy mnie zdemaskował w domu doktora, powiedział, że spotkał Kurbskiego w Randongu. Na wasze nieszczęście Kurbski mówił mi, że jeszcze nie poznał pułkownika.

— Każdy popełnia błędy — odparła.

— Ale nie w tej grze, jeżeli chcesz żyć — zauważył Chavasse. — A wy zrobiliście dwa. Kiedy wybraliśmy się na przejażdżkę, powiedziałem ci, że pomagałem Dalaj Lamie w wydostaniu się za granicę Tybetu. Wiem, że Pekin nigdy nie odkrył mego uczestnictwa w tej akcji. A pułkownik Li wiedział, że brałem udział w porwaniu. W obydwu przypadkach tylko ty mogłaś być źródłem informacji. Jesteście siebie warci, moja droga.

— Li jest moim bratem — oświadczyła z dumą w głosie. — Dobrze wiemy, co robimy i dla czego.

— Na Boga, oszczędź mi tych frazesów. Flaki mi się przewracały przez ostatnie tygodnie, kiedy słuchałem twego braciszka. Powiedz lepiej, dlaczego tak hołubiliście doktora Hoffnera.

— Był dla nas ważny jako symbol. Ludzie mu ufali, więc szanowali nas, jako jego przyjaciół — wzruszyła ramionami. — Dlatego Li tak często u niego gościł. Zaś porwanie doktora udowodniło, że moja obecność w jego domu była konieczna.

— Zastanawiałem się jeszcze nad czymś — powiedział Chavasse z namysłem. — Kiedy zamierzałem wystrzelić do twego brata, mój mauzer okazał się bezużyteczny. Nigdy przedtem mnie nie zawodził.

— Po prostu, poprzedniej nocy opróżniłam magazynek z kul — odparła.

— Doskonałe zagranie — westchnął. — A czy pomyślałaś, co się z nami stanie, gdy zabierzecie nas z powrotem? Wiesz, jak będziemy traktowani?

— Potraktują was tak, jak to będzie konieczne dla dobra państwa — odrzekła. — Ani lepiej, ani gorzej.

— Katiu! — W głosie Hoffnera zabrzmiał ból. — Czy nic dla ciebie nie znaczę?

— Nic mnie pan nie obchodzi, doktorze — oświadczyła sucho.

— Nie wierzę ci.

Hoffner ruszył ku niej dookoła ogniska. Podniosła ostrzegawczo pistolet.

— Cofnij się, doktorze! — zawołała. — Bo będę strzelać. Me żartuję.

— I zniszczysz jego genialny mózg — zadrwił z niej Chavasse.

— Wszystko, co wymyślił, jest w tej teczce — stwierdziła spokojnie. — Niewielka strata.

Hoffner szedł wolno z wyciągniętymi ku niej rękami.

— Katiu, posłuchaj mnie, proszę.

— Ostrzegam cię!

Chavasse przez cały czas nie spuszczał oka z jej wskazującego palca, spoczywającego na spuście. W kieszeni trzymał mały pistolet Tsena. Kiedy kostki jej ręki pobielwały, wystrzelił dwukrotnie przez skórzaną kieszonkę kozucha.

Siła, z jaką uderzyły dziewczynę dwa pociski, odrzuciła ją na ścianę. Upuściła karabin i wolno osunęła się na ziemię.

Hoffner z krzykiem podniósł ręce ku twarzy. Chavasse odepchnął go na bok i ukląkł przy Katii.

Patrzyła na niego, marszcząc brwi w charakterystyczny dla siebie sposób. Nagle zakaszła i krew ukazała się na jej ustach. Kiedy delikatnie opuszczał jej głowę na ziemię, już nie żyła.

Osman Sherif pospiesznie wyganiał żonę i dzieci na zewnątrz, a Chavasse podniósł się i spojrzał prosto w twarz uczonego.

— Jest mi niezmiernie przykro, doktorze — powiedział. — Wiem, jak wiele dla pana znaczyła.

Hoffner potrząsnął głową.

— Nie miałeś innego wyjścia. Po raz pierwszy w życiu uświadamiam sobie, jak bardzo świat jest podzielony. Myślę, że powinniśmy coś z tym zrobić.

Podniósł teczkę, lekarską torbę i podążył za innymi. Chavasse, idąc w ślad za nim, spojrzał po raz ostatni na Katię.

Kłęczał przy niej pułkownik Li. Po chwili wstał i przemówił zmienionym głosem:

— Jesteś twardym człowiekiem, Paul — oświadczył. — Nie przypuszczałem, że ktokolwiek może być aż tak twardy.

— Jestem profesjonalistą — odparł Chavasse. — Nie jesteś w stanie tego pojąć, ale ona to rozumiała. Była jedną z nas, choć po przeciwnej stronie.

Ruszył ku wyjściu, lecz Li schwycił go za rękaw.

— Zabij mnie, Paul!

Chavasse oswobodził się lekko i wyszedł bez słowa. Niebo było szare, ale tu i ówdzie zaczynało się przejaśniać i śnieg stał się osłepiająco biały.

Wszyscy byli już na koniach. Osman trzymał wodze luźnego wierzchowca. Chavasse chwycił łąk wysokiego, drewnianego siodła i podciągnął się. Nie przyszło mu to łatwo, ale w końcu dosiadł swojego konia. Ruszyli.

Wiedział, że pułkownik potykając się wyszedł z bunkra i stanął obok spętanego konia, którego mu zostawili. Ale nie zadał sobie trudu, by się na niego obejrzeć.

Ostatni zastrzyk doktora Hoffnera nie wystarczył na długo. Jego działanie już słabło i czuł się okropnie zmęczony, ale teraz to nie miało znaczenia. W ogóle nic nie miało znaczenia, z wyjątkiem tego, że oto w jakiś niezwykły sposób życie zaczynało się na nowo.

Godzinę później osiągnęli grzbiet przełęczy. Niespodziewanie wydało mu się, że słyszy dźwięk swego imienia dochodzący gdzieś z daleka. Odwrócił się i spojrzał po raz ostatni za siebie. Zobaczył maleńką figurkę, czerniejącą na tle śniegu obok bunkra. Przynaglił konia i pojechał za innymi w dół, do Kaszmiru.